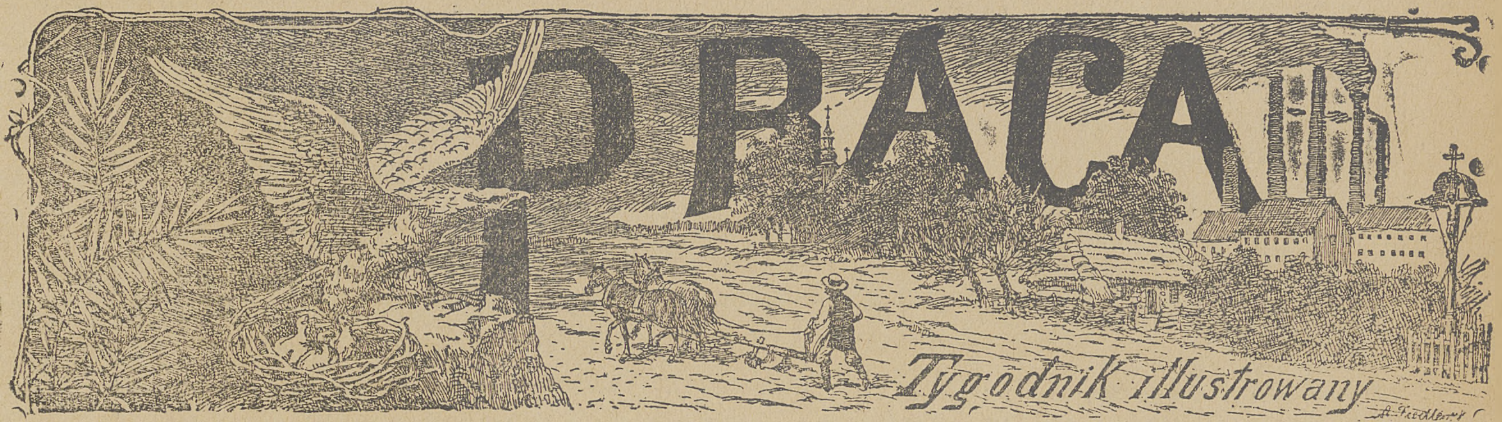
Nr. 25. Poznań, Niedziela dnia 23-go Czerwca 1901 r. Rok V.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 73 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.** za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

W następnym numerze zamieścimy
2-gi malowniczy opis
i to:

Miasta Poznania, Stolicy Wielkopolskiej

z licznemi illustracyami
a zaraz w dalszym ciągu
3-ci opis malowniczy

obu powiatów poznańskich

(wschodniego i zachodniego)
z miastami: Swarzędz i Stęszewo,
z dołączeniem karty powiatowej,

różnych widoków okolic z pod Poznania, kościołów, dworów, typów wiejskich i t. d.

Następnie zamieścimy zaraz
4-ty malowniczy opis

powiatu Krotoszyńskiego

z miastami: Krotoszyn, Dobrzyca, Kobylin i Zduny, dalej

5-ty powiat Strzeliński

z miastami: Strzelno i Kruświca;

6-ty powiat Kościański

z miastami: Kościan, Czempiń i Krzywiń;

7-my powiat Śmigielski

z miastami: Śmigiel i Wielichowo;

8-my powiat Gnieźnieński

z miastami: Gniezno i Kłecko;

9-ty powiat Rawicki

z miastami: Rawicz, Bojanowo, Miejska Górka, Jutrosin i Sarnowa;

10-ty powiat Nowotomyślski

z miastami: Nowy Tomyśl i Nowe Miasto.

Dalsze powiaty podamy później.

Szanownych Czytelników z poszczególnych powiatów prosimy usilnie o łaskawe nadsyłanie nam odnośnych kronik, dopisków, wspomnień, podań, legend, luźnych uwag z obecnej chwili i t. d., oraz fotografii, a mianowicie widoków miast i wsi, krajobrazów z okolicy, kościołów, klasztorów, pomników i t. d.

Wszelkie fotografie odeślemy po natychmiastowem zdjęciu kliszy — zaraz z powrotem bez najmniejszego uszkodzenia.

Panowie fotografiści, którzy zechcą nam dostarczyć fotografił z odnośnych miast i okolic — otrzymają odpowiednie wynagrodzenie.

Taksamo mogliby tu przysłużyć się sprawie panowie fotografiści-amatorzy — i liczymy na ich łaskawą pomoc.

Prosimy usilnie o łaskawe nadesłanie na razie illustracyi odnoszących się szczególnie do powyżej wymienionych powiatów.

Nasze plany.

Aby czytelnikom naszym dać dowód, jak bardzo się staramy o rozwój naszego pisma pod każdym względem, umyśliliśmy w najbliższym kwartale wydać

szereg numerów specyalnych.

Zachęceni powodzeniem, jakiego doznały dotychczas wydane przez nas numery, a mianowicie *Mickiewiczowskl*, *Sienkiewiczowski*, numer poświęcony *młodzieży*, numer dla

wychodźców, dla *Górnego Śląska* oraz numery z *opisem powiatów* Wielkopolski, wydamy teraz całą seryę nader oryginalnych, a cennych numerów specyalnych, które są już po większej części przygotowane, i tylko nawał bieżącego materyału politycznego skłonił nas do chwilowego ich opóźnienia.

A więc wydawać będziemy w przerwach dwutygodniowych

numery z opisem Wielkopolski,

dalej wydamy jeszcze raz po jednym numerze

dla obczyzny

i

dla Górnego Śląska,

ponieważ w naszej tece redakcyjnej nagromadził się już wielki zapas nadesłanych z tych stron korespondencyi i artykułów, a zapewne niejeden autor listu już się niecierpliwi, dlaczego nie może się doczekać wydrukowania.

Dalej — *jednym z najbardziej interesujących numerów będzie bezwątpienia numer,*

złożony z prac wyłącznie samych naszych Czytelników,

który początkowo mieliśmy wydać w ubiegłym kwartale.

Do tego numeru już mamy kilka bardzo interesujących artykułów politycznych i społecznych, szereg korespondencyi, ładne nowelki i wiersze, prosimy tylko jeszcze chętnych o nadesłanie nam *„przeglądu prasy“*, chcielibyśmy bowiem, aby ten numer od początku aż do końca był zapisany ręką naszych czytelników, zarówno z inteligencyi, jak i z ludu lub warstw robotniczych, a *w ten sposób, aby składał cenne świadectwo umysłowego i narodowego rozwoju naszego społeczeństwa,* a w ścisłem znaczeniu — tych różnorodnych warstw, które z nami ręka w rękę pracują i „Pracę“ uważają za swój organ ulubiony. Redakcya zastrzega sobie w numerze tym jedynie stylistyczne poprawki i ułożenie całości.

Lecz wszystkie te numery przewyższać będzie *prawdziwa niespodzianka,* jaką dla naszych czytelników zgotowaliśmy, zebrawszy już zupełnie rysunki i artykuły do czterech niezmiernie ważnych i cennych numerów, które się ukażą w ciągu przyszłego kwartału, a *przewyższą bezwątpienia wszystko, co kiedykolwiek „Praca“ swym czytelnikom dała.*

Będą to następujące numery:

1. Opis

Krakowa,

tej starodawnej kolebki sławy i potęgi polskiej, ozdobiony licznemi a cennemi ilustracyami, zarówno z przeszłości jak i teraźniejszego stanu miasta. Kto ma choćby najmniejsze pojęcie o tem, jak z historyą Polski zrósł się starodawny Kraków, ta siedziba odwieczna królów naszych, ten Rzym polski, ku któremu zwracają się tęskne oczy wszystkich i uszy nadsłuchują, azali nie zadźwięczy pełnym, rozlewnym dźwiękiem ów stary dzwon Zygmuntowski, który tylokrotnie opowiadał światu o naszej chwale, — kto wie o tem, jak ściśle Kraków jest związany z naszą przeszłością, ten pojmie, że opis taki, jak my go podamy, będzie zarazem cenną pamiątką chlubnej przeszłości naszego narodu. Czy nasz wychodźca w dalekich Westfalii kopalniach, czy Wielkopolanin lub Zachodnio-Prusak, albo Ślązak, — każdy tam znajdzie naukę i otuchę: — naukę, co ją wieki wiekom podają, że niema tak strasznej toni, z której by się nie podźwignął naród, który ma potemu wolę i chęć do pracy — —

2. A czego nam nie powie starodawny Kraków, to nam dopowie

Warszawa.

Warszawie, tej „dumnej wdowie królewskiej“, jak ją poeta nazywa, jej dniom blasku, chwały i rozkwitu, jej dniom ponurej grozy i rozpaczy poświęcimy drugie ozdobne wydanie „Pracy“. Warszawa, co się nie ugięła pod najstraszniejszymi ciosami i z potopu krwi tylekroć rozlewanej zawsze podnosiła głowę i dziś jeszcze wciąż jest sercem i głową Polski, tętnem jej życia umysłowego, — pokaże nam wnętrza swych opustoszałych dziś komnat królewskich, cichym szeptem i łzami spowiadać się będzie ze swych krzywd wiekowych, głośnym krzykiem bolu odezwie się na wspomnienie strasznej rzezi Pragi.

3. A potem cofniemy się myślą wstecz, do źródeł historyi naszego narodu.... Osobny numer „Pracy“ poprowadzi nas nad

Kruświcę i Gopło,

przypomni starodawne baśni i legendy, gdy spłoszony orzeł biały po raz pierwszy wzbił się w niebiosa zwycięzko z tych naszych wielkopolskich łanów, — gdy Piastów ród dzierżyć począł ster nad ludem polskim.

Nadto podamy cały szereg znakomitych portretów wybitnych hetmanów polskich, pędzla Gersona, aby lud nasz poznać mógł i z oblicza tych mężów sławnych, których bohaterstwo w boju, a rozum w radzie utrwaliły na zawsze w pamięci świata imię Polaka. W barwnym szeregu przesuną się przed naszemi oczyma surowy hetman Tarnowski, który więcej zwycięztw odniósł niż lat sobie liczył, choć w podeszłym wieku umarł, — i Jan Zamojski, kanclerz, któremu Polska chwile największej potęgi zawdzięcza, — i Żółkiewski, co pod Cecorą swą głowę położył na placu boju, bo się cofać nie chciał, — i Stefan Czarniecki, co jeden nie zwątpił, gdy wszyscy zwątpili, — i tylu, tylu innych, którzy ku chwale kraju dzierżyli buławę hetmańską. A dla illustracyi tych chwil, gdy Polska stojąc u szczytu potęgi i sławy, swe

kresy widziała u morza i morza, dodamy pięknie wykonaną przez Walerego Eliasza

mapę ówczesnej Polski z herbami województw.

Każdy z naszych przyjaciół, który pamięta, z jak małych początków wzrastając przez lat kilka „Praca“ pod względem technicznego i artystycznego rozwoju doszła do tego, że może wydawać takie np. numery jak opis Wielkopolski, będzie wiedział, że trzeba będzie napięcia całej energii naszych czytelników w zjednywaniu nowych abonentów, aby zrównoważyć olbrzymie koszta, które za sobą pociąga wydanie tych numerów, już prawie przygotowanych.

Na to poparcie liczymy.

„Praca.“

Wybory w Nadrenii.

Okręg wyborczy w Nadrenii *Duisburg — Mülheim* będzie niebawem (zapewne jeszcze przed jesienią) wybierał posła. Mandat się opróżnił po tajnym radcy Moellerze, który niedawno został ministrem handlu.

Wybory te mają też pewną wagę dla Polaków. W okręgu wyborczym *Duisburg — Mülheim* jest bowiem do 15 tysięcy Polaków, z których większa część jest uprawniona do głosowania.

Przy poprzednich wyborach o mandat z tego okręgu walczyło zacięcie centrum z narodowo-liberalnymi. Centrum w ściślejszych wyborach miało 21 tysięcy kilkaset głosów, liberał zaś otrzymał 23 tysiące i tak niewielką większością przeszedł.

Od czasu ostatnich wyborów stosunki się o tyle zmieniły, że wzrosła znacznie liczba Polaków, którzy z każdym rokiem w coraz znaczniejszych liczbach napływają do tutajszych kopalń, a są to przeważnie wszyscy uprawnieni do głosowania obywatele.

Przy poprzednich wyborach nie głosowało nawet i 20 % Polaków, bo nie było żadnej organizacyi, ani żadnej agitacyi pomiędzy nimi.

Obecnie już wszystkie inne stronnictwa obradują nad sprawą przyszłych wyborów, które się odbędą niewątpliwie w ciągu najbliższych 3-ch miesięcy, a tylko Polacy jedni śpią, pomimo że oni niewątpliwie będą mieli w swem ręku rozstrzygające o zwycięstwie głosy.

Narodowo - liberalni podobno chcą postawić byłego ministra Miquela jako swego kandydata w tym okręgu, wątpliwe jest jednakowoż, czy i ta kandydatura zdolna będzie zbudzić z uśpienia tamtejszych Polaków.

Zanim wypowiemy życzenia, które z kół tamtejszych wyborców polskich do nas w licznych listach i korespondencyach zostały wyrażone, rozpatrzymy się bliżej w położeniu żywiołu polskiego w tym okręgu wyborczym.

Okręg wyborczy, który się składa z jednego wielkiego miasta fabrycznego, Duisburga, oraz z szeregu miejscowości pomniejszych w powiecie Mülheim i Ruhrort, liczy, jak zaznaczyliśmy na wstępie około 15 tysięcy Polaków.

Miasto Duisburg daje zatrudnienie przeszło 800 Polakom, pracującym przeważnie w fabrykach. Na nabożeństwach, które tu od czasu do czasu bywają dla Polaków urządzane, bywa po 500 Polaków i więcej. Jest jedno towarzystwo polskie, na którego legalną działalność bardzo podejrzliwem okiem patrzy policya. To też od dawna już nie było polskich wieców, a zapewne też z obawy przed nieprzyjemnościami ze strony policyi nie daje znaku życia polski komitet wyborczy, który podobno kiedyś został wybrany, ale nikt nie wie, kto do niego należy i czy się nie rozwiązał. W pobliżu Duisburga leży Hochfeld, mający przeszło 300 Polaków wraz z towarzystwem. Jest to niejako przedmieście Duisburga. Wogóle w samym Duisburgu z przedmieściami (do których zaliczamy i Hochfeld) liczyć można na 1000 głosów polskich przy wyborach. W bieżącym roku w sezonie wiosennym dopływ wychodźców polskich był nieco mniejszy niż zwykle z powodu stagnacyi w przemyśle niemieckim.

Przypatrzmy się teraz osadom, rozsianym po powiecie Mülheim i Ruhrort.

Oba te powiaty należą do tych, które stosunkowo najmniej liczą Polaków ze wszystkich w Westfalii i Nadrenii. Nierównie większą liczbę Polaków ma np. powiat sąsiedni Essen, który jednak do okręgu wyborczego Duisburg nie należy. Bądź co bądź w powiecie Mülheim w licznych kopalniach dochodzi liczba zatrudnionych górników polskich do 20% ogólnej liczby niemieckich. W powiecie na pierwszem miejscu stoi *Oberhausen* gdzie znajdujemy aż do trzech tysięcy Polaków.

Urzędowe górnicze zestawienia podają przeszło 1200 górników Polaków. Pozatem pracują Polacy i w innych zawodach, a mianowicie w hutach i fabrykach żelaznych. Istnieje pięć towarzystw. Nie omylimy się przeto licząc wyborców polskich najmniej na 1½ tysiąca głosów. W *Mülheimie*, w *Styrum*, w *Altstaden* i kilku drobniejszych osadach znajdujemy przeszło 2 tysiące Polaków, a co najmniej z 1½ tysiąca uprawnionych do głosowania.

W sąsiadującym z Mülheimskim — powiecie Ruhrort, przynależnym w znacznej części do omawianego okręgu wyborczego, znajdujemy mniejwięcej ten sam procent Polaków w stosunku do Niemców w fabrykach i kopalniach.

W *Laar (Beeck)* mieszka do tysiąca Polaków, jest towarzystwo, liczące dość znaczną ilość członków. Uprawnionych do głosowania jest około 500.

W *Bruckhausen* są towarzystwa i blisko półtora tysiąca Polaków. Dodajmy do tego jeszcze *Hamborn* z takąż ilością Polaków, a będzie-

my mieli dla powiatu Ruhrort mniej więcej 1½ tysiąca polskich wyborców.

Ogółem zatem w okręgu wyborczym mamy *pięć do sześciu tysięcy* głosów wyborczych przy głosowaniu powszechnem.

Jak się zdaje, jest to liczba dość poważna, mianowicie w stosunku do ogółu wyborców (około 44 tysięcy), rozdzielonego politycznie na dwie prawie równe partye.

Już sama liczba powyższa powinna wskazać potrzebę zjednoczenia *wszystkich wyborców polskich w jedną solidarną całość, któraby przy wyborach zadokumentowała, że jest, że żyje, że ma pewne niespełnione żądania i prawa, których domaganie się wypisuje na swym sztandarze.*

Wszak wszystkie stronnictwa, choćby najsłabsze, w porze wyborów korzystają ze swego konstytucyjnego prawa, aby rozmaite korzyści osięgnąć za poparcie udzielone silniejszym stronnictwom.

Wszak w tym okręgu Polacy przy pewnej organizacyi (ludzi do agitacyi i chętnych nie zabraknie) mogą przechylić szalę zwycięztwa w jednę lub drugą stronę: *nóż na gardło centrowcom, panowie, a będziecie mieli polskie kazania!*

Lecz, jak powiedzieliśmy na wstępie, dotychczas nie znać śladu ruchu przedwyborczego wśród Polaków. Wszystko śpi....

Tu na nic się nie przydadzą skargi i jęki na brak kazań polskich i polskiej opieki duchownej, tu trzeba czynu.

Dlatego też, póki czas jeszcze, w imieniu naszych Czytelników i politycznych przyjaciół z okręgu wyborczego

wzywamy centralny polski komitet wyborczy w Westfalii i Nadrenii, aby co rychlej zajął się sprawą wyborów w okręgu Duisburg-Mülheim.

Przedkładamy żądania następujące:

Jako zasadę — że w pierwszem głosowaniu bez względu na wszelkie obietnice, zkądbądź by one pochodziły, *należy głosować tylko na narodowego polskiego kandydata.* — Polacy powinni się policzyć, powinni wyzyskać czas przedwyborczy, aby za pomocą głosowania na narodowego polskiego kandydata rozbudzić setki germanizujących się już wychodźców. *Pod żadnym warunkiem nie wolno nam Polakom głosować w pierwszem głosowaniu na obcego.* I tak przyjść musi do wyborów ściślejszych pomiędzy centrowcem a kandydatem niemieckiego misz-maszu.

W wyborach ściślejszych należy głosować za centrowcem tylko wtedy, jeśli się uzyska bezwarunkowe ustępstwa w kwestyi opieki duchownej dla Polaków. *W razie przeciwnym należy się wstrzymać od głosowania,* spełniwszy poprzednio swój obowiązek przez głosowanie na Polaka.

Podobno w komitecie centralnym niema żadnego reprezentanta z Duisburga — należy go zatem corychlej dobrać. —

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z przeszłości Księstwa Poznańskiego.

Niemcy, omawiając polityczne stosunki w zaborze naszym, zazwyczaj posługują się argumentem „szerzenia kultury“; jako aksjomat niemal, jako prawda, której słuszności nikt nie jest w stanie zaprzeczyć, krąży stale i powraca to słowo o szerzeniu kultury we wszystkich przemówieniach oficyalnych, we wszystkich agitacyjnych mowach hakatystów, we wszystkich artykułach polakożerczej prasy. A my, o ile nie znamy dobrze historyi rodzinnego kraju, przyjmujemy zwykle to zdanie, jako gotową monetę, i dalej w kurs puszczamy, wierząc święcie, że wprawdzie na polu politycznem walka zaborcza plami tę kulturę germańską, ale że jednak istotnie ta kultura wielkich rzeczy dokazała na naszej ziemi.

Otóż w rozwoju tych walk politycznych badacz natrafia raz po raz na świadectwa, że my Polacy niejednokrotnie mieli własne instytucye, stojące na daleko wyższym stopniu rozwoju, niż zagraniczne, — i że te nasze, lepsze, musiały upaść pod naciskiem politycznym zachodnich sąsiadów.

Wiadomo, jak wielkie cywilizacyjne zniszczenia pociągnęły za sobą rządy obcych w dzisiajszem Królestwie Polskiem: padły instytucye, jak Szkoła Główna, Puławy, Biblioteka Załuskich, Bank Polski i inne. Lecz zachodni nasz sąsiad zupełnie nieinaczej gospodarzył.

Świadectwo o tem daje los towarzystwa ziemskiego.

Dawne towarzystwo ziemskie (t. zw. *stara landszafta*) była instytucyą wielce zasłużoną na polu ekonomicznego stanu prowincyi. Towarzystwo to opierało się na następujących zasadach:

1) Niewypowiedzialność pożyczki. 2) Amortyzacya rozłożona na kilkadziesiąt lat. 3) Solidarność stowarzyszonych w odpowiedzialności za długi. 4) Zarząd w rękach dyrekcyi, wybranej przez stowarzyszonych. 5) Prawo kontroli, przysługujące rządowi — obok zupełnej autonomii wewnętrznej towarzystwa.

Instytucya ta miała charakter zbyt polski, aby w czasie tłumienia wszystkiego co polskie po upadku powstania 1848 r. rząd nie miał się starać o jej skasowanie. Lecz brakło sposobności. Sposobność dostarczył wreszcie smutny stan majątkowy Księstwa na schyłku szóstego dziesięciolecia.

Gdy bowiem okazała się nieodzowna potrzeba przyznania nowych pożyczek zagrożonemu ruiną majątkową ziemiaństwu, rząd na emisyę trzeciej seryi listów zastawnych się nie zgodził, aby nie otworzyć nowych źródeł kredytu znienawidzonej przez się instytucyi; — nie zgodził się też na to, aby poznańskim właścicielom ziemskim udzielano trzeciej pożyczki do wysokości połowy lub ⅔ wartości majątków, pomimo że towarzystwa kredytowe na Pomorzu, w Prusach Zachodnich, na Slązku, w Marchii — w pełnym zakresie z tych pozwoleń korzystały.

Podciąwszy w ten sposób byt towarzystwa, rząd sądził, że nadeszła pora powołać do życia nowe towarzystwo kredytowe pod rządowemi auspicyami i w r. 1857 ogłosił niespodziewanie statut tego nowego towarzystwa. Statut ten wystarczająco charakteryzują trzy następujące punkta:

1) Dyrekcya zamianowana z ramienia rządu, 2) Prawo wypowiedzenia całej pożyczki, przysługujące dyrekcyi bez apelacyi i potrzeby podawania powodów. 3) Solidarna odpowiedzialność stowarzyszonych nietylko w zakresie pożyczek, ale i procentów.

Statut nadawał nowemu Towarzystwu czysto rządowo-polityczny charakter. Ale się rząd omylił, sądząc, że groza ruiny majątkowej popchnie odrazu ziemiaństwo polskie w objęcia nowej tej instytucyi; członkowie się wcale nie zgłaszali. Wobec tego rząd zmusił dyrekcyę dawnego towarzystwa do układów z nowem, w celu przeprowadzenia zlania się obydwóch instytucyi. Gdy jednak i te układy nie przyprowadziły do pożądanego

celu, rząd wtedy, nie pytając się zdania sejmu prowincyonalnego, wyposażył nowo stworzoną instytucyę w fundusz, przeznaczony przez prowincyę na założenie towarzystwa kredytowego dla chłopów uwłaszczonych. Prezes regencyi, który był depozytaryuszem tego funduszu, bez wiedzy i woli właściciela przelał go do kas nowo utworzonego Towarzystwa dla wielkiej własności. Moc kapitału wywarła swą magiczną siłę. Choć poprzednio brakło stowarzyszonych, gdy kredyt miał być osiągnięty drogą samopomocy — znajdywać się zaczęli obecnie, gdy otworzyły się nieprawnie upusty kas należącego do prowincyi kapitału.

Wprawdzie posłowie polscy w sejmie i w izbie wyższej (izbie Panów) wnosili interpelacye w sprawie „bezprawnego ograniczania kredytu „starej landszafty“, ale wszystko napróżno: rząd pruski poprzysiągł tej znienawidzonej instytucyi polskiej zgubę i cofać się nie myślał.

Taki był koniec „starej landszafty“. Zamiast opartej na samopomocy i samorządzie polskiej instytucyi kredytowej, która wybornie funkcyonowała i była prawdziwą chlubą prowincyi — zjawił się nowotwór o daleko niższej wartości społecznej.

Rok 1859 przyniósł nowe świadectwo tego, jak Prusacy w Poznańskiem pojmowali swą misyę cywilizatorów w politycznem znaczeniu.

W połowie roku 1858 rozeszło się w całem Poznańskiem dużo odezw, zachęcających do powstania. Spostrzeżono, że pomiędzy odbiorcami tych podejrzanych dokumentów było najwięcej takich, których policya śledziła, jako politycznie podejrzanych. Przypuszczano, że to jest intryga, wyszła ze strony pruskiej. Poseł W. Niegolewski postanowił wyśledzić źródło, z którego te prowokacyjne odezwy pochodziły i odnalazł je wreszcie — po długich a mozolnych poszukiwaniach w biurze policyi poznańskiej. Z dowodami w ręku, które żadnej wątpliwości nie pozostawiały, postawił słynną interpelacyę, w której oskarżył policyę poznańską o podżeganie do buntu. Wykazał, że z polecenia dyrektora policyi, Bärensprunga w urzędowej drukarni z urzędu płatni drukarze przedrukowali potajemnie londyńską odezwę polską, którą później biuro policyi rozesłało do licznych mieszkańców Księstwa, aby w ten sposób albo doprowadzić do prawdziwych rozruchów, albo przynajmniej przy rewizyach i śledztwie mieć odrazu materyał obciążający i mogący upozorować zaprowadzenie praw wyjątkowych.

Jak w roku 1848 starano się przez wpływy berlinskie skierować bieg wypadków na tory wewnętrznej rewolucyi społecznej, któraby za przykładem galicyjskiej rzezi z r. 1846 strawiła na popiół społeczeństwo polskie pożarem walki bratobójczej, tak samo i w latach następnych starano się metodycznie stosować te intrygi do ludu polskiego i wywołać albo pozór konspiracyi przeciw pruskiej przemocy, albo wewnętrzną społeczną rewolucyę. Gdy intryga Bärensprunga się nie udała, wywołano w roku 1860 niechęć i rozdrażnienie wśród ludności polskiej przez rozmieszczenie w prowincyi tych samych pułków, które się krwawo zapisały w pamięci mieszkańców w roku 1848.

Rozeszła się wieść, że w czasie procesyi Bożego Ciała Prusacy będą mordować Polaków: wieść ta, niewiadomo skąd powstała, — była przyczyną wielkiego wzburzenia umysłów i obaw.

K. R.

Wiec
w sprawie pijaństwa i karciarstwa.

Na wiec w sprawie pijaństwa i karciarstwa, zwołany na dzień 16-go b. m. w południe na wielką salę Bazarową, przybyły liczne zastępy uczestników i uczestniczek wszystkich stanów. Sala była przepełniona.

Wiec zagaił wstępnem słowem prezes Komitetu wiecowego, ks. mansyonarz Kościelski z Poznania i zaproponował zebranym na marszałka wieca sędziwego Patrona — jubilata p. Maksymiliana Jackowskiego, którego wybór przyjęto jednomyślnie.

Delegatów przysłały następujące Towarzystwa:

Towarzystwo Młodych Przemysłowców, Poznań: pp. Olsztyński, Gołębiewski, Rakowski, Biskupski, Koczorski.

Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół,“ Poznań: pp. Poturalski, Słomiński, Preiss.

Katolickie Towarzystwo Rzemieślników Polskich, Poznań: pp. Grajkowski, Kałużewicz, Łuczka, Wojciechowski, Kostka.

Towarzystwo Przemysłowe, Wrocław: p. Żuński.

Towarzystwo międzynarodowe, Gniezno: pp. Hagner, Milisiewicz.

Towarzystwo Rękodzielników, Poznań: pp. Ledworowski, Suszka, Filipiak.

Towarzystwo Przemysłowe, św. Łazarz: pp. Stam, Łopatka, Ofierzyński.

Stowarzyszenie Drukarzy Polskich, Poznań: pp. Maligłowski, Nowicki, Malow.

Towarzystwo Młodzieży polsko-katolickiej, Poznań: pp. Niewiada, Bączkowski, Andrzejewski, Politowicz, Antoniewicz.

Towarzystwo Jedność, Poznań, pp. Szymański Br., Szwarz, Dritter.

Kółko Rolnicze, Przement: pp. Lewandowski, Ciesielski.

Towarzystwo św. Józefa, Przement pp. Raszka, Szymanowski.

Towarzystwo Przemysłowe, Główna: p. Żurek.

Towarzystwo Przemysłowe, Swarzędz: p. Napieralski.

Towarzystwo Przemysłowe „Sobieski,“ Poznań: pp. Rumiej, Łuczyński, Kulczyński.

Towarzystwo Przemysłowe, Kostrzyn: p. Drachowski.

Towarzystwo Przemysłowe, Jeżyce.

Towarzystwo Przemysłowe na Wildzie: p. St. Ulatowski.

Najprzewielebniejszy Ks. Arcypasterz przysłał ze swej letniej rezydencyi, Krobi, orędzie, pozdrowienie, i błogosławieństwo wiecownikom.

Uchwalono wysłać Ks. Aracybiskupowi telegraficzne podziękowanie i na cześć jego wykrzyknięto trzykrotnie: „Niech żyje!“

Przemawiali w sprawie pijaństwa: p. Józef Chociszewski z Gniezna na temat „Historyczno-społeczne omówienie pijaństwa w Polsce“, p. dr. Karwowski z Poznania na temat „Alkohol ze stanowiska lekarskiego“, a p. dr. Zygmunt Celichowski z Kórnika referował o środkach zaradczych przeciw pijaństwu.

Sprawę karciarstwa hazardowego omawiał Patron — jubilat p. Jackowski, prezes Towarzystwa antihazardowego.

Pan dr. Władysław Łebiński odczytał list pewnego wpływowego obywatela z prowincyi, illustrujący dosadnio i w jaskrawych kolorach jaskinię gry w mieście X.

Wszystkie mowy oklaskiwano hucznie i gorąco oraz przyjęto jednogłośnie rezolucye, podające środki, mające działać przeciw pijaństwu i karciarstwu.

Przy wolnych głosach przemawiali pp. Karwik, Franciszek Rumiński, Grajkowski, mistrz szewski, członek kat. Tow. Rzemieśliników polskich (przemówił bardzo dobrze) Karabasz i Krzyżagórski, członek „Jutrzenki“, wszyscy z Poznania.

Przemówienia pp. Karwika i Franciszka Rumińskiego miały zabarwienie socyalistyczne.

Wiec trwał przeszło trzy godziny, a obrady były pełne godności i powagi.

Wiecownik.

Z blizka i z daleka.

Blaty polakożercze krzyczały w niebogłosy, że książe Radziwiłł urządza w Antoninie niby „dzień polski,“ jako odpowiedź na „dzień niemiecki,“ zjazd hakatystów w Jarocinie. Te piśmidła

wymyślały przy tej okazyi na wszystko, co polskie, na wielkopolską agitacyę itd. Pokazało się, że wszystko, co o tym „dniu polskim“ popisały, jest kłamstwem. Bo najpierw odbył się ów dzień polski 2-go czerwca, a nie w dzień zjazdu hakatystów, 9-go czerwca. Następnie pokazało się, że Księstwo Radziwiłłowie urządzili tę majówkę w parku buczyńskim na to, aby *„zbliżyć Polaków do Niemców,“* bo na majówkę w dniu 2 bm. byli przez księżnę proszeni wszyscy oficerowie załogi w Ostrowie, wszyscy sędziowie, profesorowie, urzędnicy administracyjni, landraci sąsiednich powiatów.

Pięknie polakożercy księżnie za to podziękowali. **Ale dobrze jej, po co się zadaje z Prusakami.**

Opinia publiczna polska wcale tych usiłowań zbliżenia Polaków do Niemców za dobre i potrzebne nie uznaje. My Niemców aż za dużo mamy na każdym kroku, abyśmy mieli tęsknić za nimi w towarzyskiem pożyciu.

* * *

Sprawę zabezpieczenia Poznania przed powodzią, załatwić ma rada miejska jeszcze przed wakacyami latowemi. Projekt, co do którego nastąpiło już porozumienie z wszystkiemi odnośnemi instancyami, przewiduje półtora miliona marek kosztów. Z tego połowę ma dać miasto, 400,000 marek rząd, a 350,000 marek stany prowincyalne. Brzegi Warty podniesione będą do wysokości 7 i pół metra. Magistrat zawarł już umowę z różnymi właścicielami gruntów, które musi zakupić. Właściciele ci otrzymają po 10—30 marek za metr kwadratowy. Cenę tych gruntów obliczono na przeszło 300,000 marek. Rozszerzenie mostu tumskiego kosztować ma 40,000 marek, zbudowanie mostu pontonowego z Grobli na Miasteczko 75,000 marek. Wszystkie prace skończone zostaną w przeciągu dwóch lat.

Oby się tylko z tymi projektami nie stało tak, jak z projektem zniesienia wałów fortecznych!

* * *

Węgle brunatne prawdopodobnie w najbliższym czasie zaczną wydobywać przy Dolinie świętojańskiej za bramą Kaliską w Poznaniu. Obliczają, że pokład węgli obejmuje przeszło 4000 hektarów.

* * *

Z Ełku, na Mazurach, donoszą, że po ośmiomiesięcznem więzieniu wypuszczony został z więzienia redaktor, pan Hugo Bahrke. Pan Bahrke, który zdrów udał się do Ełku, pisze, że radość z wolności jest tylko połowiczną, w więzieniu utracił bowiem zdrowie i czuje się bardzo chory. Życzymy p. B. jak najprędszego przyjścia do zdrowia, aby tem skuteczniej pracować mógł dla braci Mazurów i chronić ich przed germanizacyą za pomocą swej „Gaz. Ludowej.“

* * *

„Dziennik Śląski“, idąc za naszym przykładem, żąda od posłów górnośląskich, aby nie pokazywali się na uroczystości odsłonięcia pomnika Bismarka w Berlinie. Myśmy to samo życzenie wyrazili poprzednio już wobec posłów polskich. Gdzieby zaś tam górnośląscy Niemcy mieli spełnić życzenie polskiego ludu! oni przecież sobie więcej cenią rozmowę z ministrem albo jakim dygnitarzem, niż lud polski wraz z jego dążeniami i myślami. Kiep ten, kto będąc Polakiem, będzie na Niemca głosował w przyszłych wyborach na Górnym Śląsku.

* * *

Wiec polski w Gelsenkirchen odbędzie się w uroczystość św. Piotra i Pawła, dnia **29 czerwca** o godz. **wpół do 12 w południe** w sali „Germania“ (Baumaister), przy ul. Hermannstr. 16. Na wiecu będą omawiane przedewszystkiem sprawy górnicze, dotyczące znanego rozporządzenia językowego policyi górniczej. W sprawie tej zostać mają na wiecu uchwalone petycye, które wysłane zostaną do wyższego urzędu górniczego w Dortmundzie, do ministerstwa w Berlinie i t. d.

Pod obrady przyjdą też sprawy knapszaftu, a o ile czas pozwoli, będą też ogólne sprawy omawiane.

* * *

Za staraniem **„Gazety Grudziądzkiej“** utworzyło się w Trzcianie (w Sztumskiem) towarzystwo polskie. Pierwsze posiedzenie zaraz zostało przez wójta rozwiązane.

Nic to, bracia Wiarusy! Pod dobrym się znakiem rozpoczyna: widać, że Was władza ma za dobrych Polaków.

* * *

Wszyscy czescy robotnicy, zajęci w dessauskich państwowych fabrykach, otrzymali rozkaz wydalenia i mają granice państwa opuścić do dnia 20 b. m. Rozporządzenie to dotknęło zwłaszcza bardzo wielu pomocników rękodzielniczych.

Ten sam los spotkał i licznych robotników polskich z Galicyi i z Królestwa. Tak to biednemu robotnikowi zawsze wiatr wieje w oczy.

W obecnych nienormalnych warunkach politycznych narodu polskiego najgorzej upośledzeni są robotnicy.

* * *

Zjazd polskiej partyi socyalistycznej odbył się w Berlinie a wobec niemieckiej socyalnej demokracyi przyjął po wygłoszeniu referatu przez panią Glińską z Berlina następującą rezolucyą:

„Szósty zjazd P. P. S. potępia zachowanie się pewnych grup niemieckich towarzyszy i niektórych pism partyjnych, jak np. „Vorwärtsa“ i „Breslauer Volkswacht“, które systematycznie występują przeciwko naszej agitacyi i organizacyi i wyraża głębokie ubolewanie z powodu, że partya socyalno-demokratyczna w Niemczech dała posłuch oszczerczym insynuacyom i porzuciła stanowisko, jakie zajmowała wobec nas w roku 1893.“

Już teraz zwracamy jednak uwagę, że niemiecka partya socyalistyczna chcąc opanować Polaków nowe zastawia sidła na robotników polskich: ta sama bowiem partya, która polskim socyalistom odmówiła prawa bytu, zaczęła wydawać w Poznaniu pisemko p. t. *Oświata*, z pozoru poświęcone sprawom zawodowym w istocie zaś będące na usługach dr. Wintera z Bytomia. Zajmiemy się niebawem omówieniem tego wydawnictwa.

* * *

Amerykańskie pisma wychodzące w języku angielskim zamieszczają obszerne artykuły o naszem wydawnictwie „o naszym programie politycznym i ciągłych aresztowaniach redaktorów. Pismo *Fromfar* ogłasza o „Pracy“ długi artykuł pióra jednego z redaktorów tamtejszych pism polskich a naszego łaskawego zwolennika. *Z.*

Z TYGODNIA.

Ze stron, zkąd przywykliśmy niestety odbierać same złe wiadomości, dolatuje teraz nas nowina nietylko ciekawa, ale i niespodziewana i przyjemna.

Otóż generał gubernator warszawski, Czertkow rozpoczął swe rządy od tego, że zupełnie zwolnił od kary tych kilkudziesięciu studentów Polaków, którzy w pamiętny dzień 3-go maja urządzili w tym roku pamiątkową manifestacyę.

Dawniej takie „zbrodnie“ były karane bardzo ostro, — nierzadko cytadela i całe miesiące więzienia a wreszcie wydalenie z uniwersytetu opłacały jedną niewinną manifestacyę narodowych uczuć tlejących w sercach młodzieży.

Ten akt „łaski“ wszechwładnego generał-gubernatora należy do objawów w Królestwie tak niezwykłych, że warto się nad nim bacznie zastanowić.

W motywach odnośnego rozporządzenia czytamy, że w ten sposób rząd chce studentom warszawskim dać poznać, że ceni ich spokojne stanowisko wobec rozruchów studenckich w Rosyi.

Nie przypuszczamy, aby ten jeden promyk słońca miał zwiastować trwałą pogodę na horyzoncie, zaciemnionym dotąd krwawemi chmurami niecnego ucisku. Rosya nie należy do rzędu tych państw, któreby bez żadnych widocznych powodów miały zmieniać kurs swojej polityki wewnętrznej, zwłaszcza gdy chodzi o sprawę „zjednoczenia kresów z całością imperyi.“ Rusyfikacya Polaków jest celem rosyjskiego rządu, celem, który mimo płodozmianu środków do niego wiodących, zostaje zawsze jeden i ten sam. Dlatego z góry należy odrzucić mniemanie, jakoby ostatni postępek Czertkowa miał być wynikiem jakichś nowych prądów, wiejących z Petersburga. Pobiedonoscewy czuwają jeszcze nad sterem rosyjskiej łodzi i nie dadzą jej zboczyć z dróg, naznaczonych na dziejowej mapie krwawą wstęgą prześladowań polskiego języka i polskiego ducha. Marzyć o trwałej zmianie systemu rządowego, o wytworzeniu jakiegoś modus vivendi w Królestwie polskiem byłoby po tych rozczarowaniach rzeczą wprost śmieszną.

To zasadnicze stanowisko, z którego, naszem zdaniem, muszą być traktowane wszelkie postępki rosyjskiego rządu względem Polaków, nie powinno nam jednak przeszkodzić w należytem, a bezstronnem ocenieniu miłej niespodzianki zgotowanej Królewiakom przez warszawskiego wielkorządcę. Musimy pamiętać o tem, że dzięki osobistym dobrym chęciom Czertkowa, kilkadziesiąt jednostek zostało zwróconych naszemu społeczeństwu.

Interesujące wiadomości nadchodzą do Europy z pola bitwy w Południowej Afryce. Jak ktoś dowcipnie wyliczył, podług urzędowych sprawozdań angielskich, Anglicy dwa razy więcej już wystrzelali Boerów niż było ich wogóle w całym kraju razem z żonami i dziećmi — a tymczasem waleczny ludek wciąż jakoś się bije o wolność.

Charakterystyczne światło rzucają na urzędowe sprawozdania angielskie listy, otrzymane w tych dniach przez różne dzienniki europejskie z afrykańskiego teatru wojny. Czytelnicy przypominają sobie wiadomość, rozpowszechnioną przed 3-ma miesiącami, po nieudanej nagance na De Weta Bothę, że Botha zawarł z Kitchener'em zawieszenie broni i skłaniał się do zawarcia pokoju na warunkach niekorzystnych dla Boerów. Rozejm trwał rzekomo dwa tygodnie i w Anglii tak silnie wierzono w zniechęcenie Boerów, iż przepowiadano z wielką pewnością kapitulacyę Bothy. Gdy przepowiednia ta nie sprawdziła się, oświadczono, że De Wet zaprotestował przeciw złożeniu broni.

Obecnie okazuje się, że sprawa ta miała się wcale inaczej. Z kilku zgodnych ze sobą listów, ogłoszonych przez pisma stałego lądu, wynika, że nie Botha, lecz lord Kitchener rozpoczął układy z Boerami. Zgłosił się on za pośrednictwem pani Bothy do głównodowodzącego wojskami boerskiemi i prosił o rozmowę. Boerska rada wykonawcza zgodziła się na układy i dnia 28 lutego Botha udał się do Middelburga. Towarzyszyli mu De Wet i sekretarz prezydenta Van Velden. Anglicy wysłali mu naprzeciw straż honorową pod dowództwem oficera sztabu generalnego.

W Middelburgu, gdzie zebrał się cały sztab generalny angielski, Kitchener wyszedł na spotkanie nieprzyjacielskiego generała, wziął go pod rękę i rozpoczął zaraz rozmowę o wojnie. Układy toczyły się w mieszkaniu Kitchener'a, w obecności obu towarzyszów Bothy. Ze strony angielskiej nie było żadnych świadków. Botha oświadczył z góry, że Boerowie domagają się niepodległości i nie odstąpią od tego warunku. Na spotkanie z Milner'em zgodzić się nie chciał. Rozmowa nie doprowadziła do żadnego rezultatu, i Botha po wspaniałym obiedzie odjechał.

Jeszcze nie zagasł pożar wojny w dalekich Chinach, — jeszcze płomienie niszczonych farm boerskich w południowej Afryce łuną pożogi biją ku niebu, a tu pojawia się nowa chmura grożąca nowemi ofiarami krwi i wojny.

Dość niespodziewanie pojawia się na horyzoncie politycznym kwestya kreteńska. Zgromadzenie narodowe utworzone na końcu wskutek interwencyi mocarstw, które na czele wyspy postawiło ks. Jerzego, uchwaliło rezolucyę, domagającą się przyłączenia Krety do Grecyi. Podobno myśl tę popiera głównie sam książę, który nawet miał oświadczyć, że złoży swój urząd, jeżeli aneksya nie przydzie do skutku. Jednakże książę powinien najlepiej znać usposobienie mocarstw w tej mierze, gdyż odbył niedawno podróż po głównych dworach, i z pewnością ani ministrowie, ani panujący nie pozostawili mu najmniejszej wątpliwości co do tego, że każda zachcianka aneksyjna natrafi na stanowczy opór ze strony Europy.

Tyle jest teraz spraw międzynarodowych do załatwienia, że kancelarye dyplomatyczne nie dopuszczą do wytworzenia się jeszcze jednej i to bardzo drażliwej. Zgromadzenie narodowe kreteńskie uchwaliło wprawdzie tylko przedłożyć mocarstwom swoje życzenia; zachodzi jednak obawa, że agitacya panheleńska jest dość silna, aby wywołać w danej chwili przewrót, podobny do tego, jaki w swoim czasie spowodował przyłączenie się Rumelii do Bułgaryi. Wówczas ten *fakt accompli* został zratyfikowany przez Europę, ale stał się powodem ciągłych komplikacyi, które ostatecznie zgubiły ks. Aleksandra. Przykład ten powinien być nauką i przestrogą dla księcia Jerzego, który jest, zdaje się, dość skłonnym do ulegania wpływom z Aten. Nie należy także zapominać, że ludność muzułmańska stanowi poważny procent mieszkańców Krety, a dla niej przyłączenie do Grecyi byłoby hasłem zbrojnego powstania lub emigracyi. Te wszystkie względy są wystarczające, aby roztropniejszych Kreteńczyków powstrzymać od ryzykownych awantur, ale na Wschodzie niespodzianki faktyczne są na porządku dziennym, więc i ewentualność nowej kreteńskiej rewolucyi nie jest wykluczona.

K. O.

Przegląd prasy polskiej.

Szereg wieców parafialnych, mających się odbyć w Księstwie celem ostatecznego zorganizowania towarzystwa wiecowego „Samopomoc," rozpoczął się w niedzielę, dnia 9 czerwca wiecem rzegocińskim.

W odpowiednio urządzonej do tego stodole, wobec przeszło 400 wiecowników, zagaił wiec dłuższem przemówieniem pan Józef Chłapowski, tłomacząc główne powody i cel zebrania. Poniżej podajemy relacyę **„Dziennika Poznańskiego"** z tego interesującego wieca, który zarówno treścią i jędrnością przemówień, jak i starannem unikaniem dania powodów rozwiązania za przykład służyć może następnym:

„Przy ukonstytuowaniu się bióra na ogólne życzenie wiecowników zatrzymuje p. Chłapowski przewodnictwo, a powoławszy do pióra rządzcę p. W. Janiaka ze Zbik, na ławników miejscowego proboszcza ks. dr. Głowińskiego, Józefa Augustyniaka ze Zbik, Andrzeja Królaka z Rzegocina, gosp. Ludwika Barańskiego z Łęgu, gosp. Glapę z Wieczyna i oberzystę p. Majerowicza z Robakowa i gospodynią Szymańską z Grabia powitał i zaprosił na estradę obecnych gości ks. ks. dziekanów Bronisława Taczanowskiego z Grodziska i Bolesława Dziegieckiego z Czermina i p. dra Kubackiego z Pleszewa.

„Pierwszym mówcą był robotnik dominialny, Wawrzyn Maciejewski z Rzegocina. Wyraziwszy na wstępie radość z tego, że jemu prostaczkowi daną jest możność mówienia wobec tak licznego zgromadzenia o krzywdach nas, dzieci jednej nieszczęśliwej matki spotykających, krytykuje mówca swym prostym, wszystkim wiecownikom łatwo zrozumiałym sposobem system germanizacyjny i wyraża swe oburzenie z powodu systematycznego usuwania języka polskiego ze szkoły.

„Drugi mówca, gospodarz i młynarz Szymon Rogacki z Rzegocina, na wstępie skarży się na niesprawiedliwe usuwanie języka ojczystego z urzędów, ze sądu a teraz ze szkoły i drastycznymi przykładami z własnego doświadczenia wykazuje zły wpływ obecnej szkoły na dzieci polskie. „Żal ściska serce, gdy z ust naszej dziatwy zamiast: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" słyszymy „Guten Morgen" albo „Grüss Gott", gdy szydząc z tego miasto „Grüss Gott" mówi, „gryzł kot" albo zamiast „Guten Tag" kiwa głowami i mówi: „koń tak" itp.

„Dalej rozwodził się szanowny mówca, którego przemówienie często oklaskiwano, nad niesprawiedliwą ustawą kolonizacyjną, nad brakiem równouprawnienia, pomimo równych z Niemcami ciężarów, a skończył wezwaniem gorącem wszystkich, „by twardo stali przy sztandarze świętości narodowych, by narodowości wiernie strzegli i jak praojcowie i ojcowie „Polakami" z świata schodzili."

„Pan W. Janiak z Zbik z wielką swadą mówił o prawach nam służących, konstytucyą i królewskiemi przyrzeczeniami zagwarantowanych, o ich gwałceniu wobec nas w urzędach, w wojsku, na poczcie, w szkole, a nawet w życiu codziennem. „Zagrożeni jesteśmy na całej linii; nawet na nasz dorobek, na naszą egzystencyą i byt materyalny czynią nasi najserdeczniejsi zakusy." „Swiadomość tych krzywd powinna nas Polaków zachować od kroków nierozważnych, bo każdy nasz błąd, to woda na młyn germański, powód do naszych udręczeń.

My nie zginiemy, bośmy narodem szlachetnym, a zginąć może tylko naród nikczemny.“

„Następni mówcy: ks. dr. Głowiński i dr. Kubacki z Pleszewa mówili: pierwszy o ważności i konieczności języka ojczystego przy wykładzie religii świętej, drugi o celach Towarzystwa „Samopomocy“.

„Wszystkie mowy potężne na słuchaczach zrobiły wrażenie. Zgodność z wywodami mówców stwierdzali wiecownicy częstemi, przeciągłemi oklaskami.“

Odczytano następnie następujące rezolucye żądające:

1) wykładu religii w języku polskim,
2) zaprowadzenia nauki języka polskiego.

Nadto zebranie uchwaliło zbiorowo przystąpić do nowozawiązanego na wiecu w Pleszewie stowarzyszenia Samopomoc, które ma na celu zogniskowanie pracy nad rozbudzeniem naszego ludu.

Jak już powyżej zaznaczyliśmy, wiec rzegociński pod względem porządku, mów i całego przebiegu do najlepszych zaliczyć można.

Szkoda, że to do serca Kujaw, do Inowrocławia, nie dochodzą widocznie wcale głosy pobudzające do wieców. Rzecz dziwna, że się tam nie może znaleźć grono ludzi dobrej woli, którzyby zajęli się urządzeniem wieca. Wielu o tem myśli, ale zawsze jeden na drugiego się ogląda — a w sferze wyższej rozmaite ordery pruskie przytępiły słuch rozmaitym osobom i nie dają im usłyszeć tego, że ludność polska głośno domaga się urządzenia wieca polskiego.

Osobom, które wiece zamierzają urządzać w najbliższym czasie, podajemy pod baczną rozwagę poniższą korespondencyą **„Gazety Grudziądzkiej,“** sądzimy bowiem, że poruszona tam sprawa w interesie dobra publicznego powinna być wyświetlana na wiecach, aby lud nie mógł ulegać fałszerstwom pruskich agitatorów:

„Z pod Gniezna doniesiono nam przed kilkoma dniami, że tam w niektórych miejscowościach jacyś mądrale pruscy na taki oto wzięli się sposób, aby otumanić ludność polską, rozgoryczoną z powodu nauki religii w obcym języku niemieckim. Oto ludzie ci takiemu Polakowi, który skarżył się na tę przewrotną naukę religii w szkole, otwierają katechizm niemiecki i historyę biblijną niemiecką, z których dzieci dziś uczą się po niemiecku nauki religii, *pokazują mu pieczęć i podpis Najprzew. ks. Arcybiskupa* i tak prawią: *„Co wy się oburzacie na rząd pruski! To nie rząd pruski zaprowadził wykład nauki religii po niemiecku. Tu z tej pieczęci i z tego podpisu ks. Arcybiskupa na niemieckim katechizmie i na niemieckiej historyi biblijnej możecie się przekonać, że to nie kto inny tylko sam wasz Arcybiskup w Poznaniu pozwala na to i chce tego, żeby dzieci polskie uczyły się religii po niemiecku.“*

„Czy sam szatan z piekła mógłby się chwycić szkaradniejszego podstępu?

„Kto jest trochę oświecony w sprawach dotyczących urządzeń kościelnych, ten takiemu szalbierzowi pewnie plunął przed nogi, ale jakże mała liczba jest takich między tamtejszym ludem? To też, jak nam doniesiono, wielu ludzi dało się schwytać na to szatańskie szalbierstwo agitatorów masońskich. Z największem oburzeniem a nawet i z rozpaczą rwali sobie ci ludzie odzież na piersiach wołając: „Arcybiskup nas zdradził! Arcybiskup nas zaprzedał!“ A gdy rozsądniejsi tłómaczyli im, że to nie prawda, owi zrozpaczeni ludzie wołali: „A toć widziałem na własne oczy pieczęć i podpis Arcybiskupa na niemieckim katechizmie i na niemieckiej historyi biblijnej!“

„Oto jakich środków chwytają się masoni pruscy, aby tylko podkopać w ludzie polskim przywiązanie do Władzy Duchownej, a dalej także przywiązanie do Wiary św. katolickiej!

„Mamy nadzieję, że Władza Duchowna wkroczy tutaj z całą stanowczością i postara się o to, aby lud cały był co do tej ważnej sprawy jak najdokładniej oświecony i aby w przyszłości nie mógł paść ofiarą takich łajdackich szalbierstw pruskiego masoństwa.

„My z naszej strony uważamy za swój obowiązek za świeżego prawa wyjaśnić tę sprawę, aby, o ile się da, położyć tamę dalszym szalbierstwom.

„Co znaczy tedy na niemieckich katechizmach i historyach biblijnych pieczęć i podpis ks. Arcybiskupa! Oto znaczą one tylko tyle, że ks. Arcybiskup *przekonał się, że, co tam napisane w tych książkach, to zgadza się z nauką Kościoła św. katolickiego i że Ks. Arcybiskup pozwala drukować te książki. Innego znaczenia ten podpis i ta pieczęć nie mają!*

„Że Ks. Arcybiskup swój podpis i swoją pieczęć położył na katechizmie niemieckim i na historyi biblijnej niemieckiej, **bynajmniej więc nie znaczy,** *jakoby Ks. Arcybiskup pozwalał na to lub chciał tego, żeby dzieci polskie uczyły się z tych niemieckich katechizmów i historyi biblijnych.*

„A dlaczego tedy Ks. Arcybiskup dał wogóle swój podpis i swoją pieczęć na te dwie książki niemieckie? Oto dlatego, **żeby dzieci dajczkatolickie (które nie mówią po polsku) miały się na czem uczyć religii.“**

Wiadomo, jak niezwykły zatarg i rozłam nastąpił w obozie socyalistycznym, a to z powodu spraw polskich. Podajemy za **„Gazetą Gdańską“** artykuł w tej sprawie, dodając od siebie, że myśmy mało dotychczas uwagi poświęcali ruchowi socyalistycznemu, wiedząc zgóry, że wewnętrzny rozłam w tej partyi jest nieunikniony i że elementy hakatystyczne pójdą z Niemcami, ci zaś socyaliści, którzy się nie zechcą wyrzec narodowości, wcześniej lub później znajdą się na rozstajnych drogach i że nasz lud prostszą niż oni drogą dojdzie do tej prawdy, że dziś obrona narodowości stać nam wszystkim powinna na pierwszym planie.

„Lud polski, czytając różne gazety, przekonywał się, że socyaliści pragną wydrzeć mu jego najdroższe skarby, że za to nic mu wzamian nie dadzą i dać mu nie mogą, wreszcie w wielu wypadkach, np. na wiecach, naocznie przekonał się, że ludzie ci są równie zawziętymi wrogami polskości jak hakatyści. Odtąd agitatorzy socyalistyczni nie mieli szczęścia u ludu polskiego.

„W Poznaniu dostali socyaliści na wiecu, który hałasami chcieli rozbić, potężne pamiętne, bo wiecownicy polscy wyrzucili tych parobków żydowskich sromotnie ze sali.

„To wszystko, a mianowicie te sine pieczęcie, jakie towarzysze odebrali od pięści polskich w Poznaniu, widocznie przekonały żydowskich kierowników socyalizmu, że z Polakami im się sprawa nie uda. To też na zjeździe socyalistów na Górnym Szlązku uchwalono, że *„nie warto utrzymywać dalej odrębnej polskiej partyi socyalistycznej.“* Zebrani socyaliści tak już widocznie gruntownie zniechęcili się do Polaków, że oto już nie lękali się wystąpić otwarcie i powiedzieć wręcz, że *istnienie odrębnej polskiej partyi socyalistycznej przeszkadza zniemczeniu się Polaków.*

„A zatem socyaliści tutaj przyznali, że porówno z hakatystami pragną zniemczenia ludu polskiego, a dotychczas niby żądali dla Polaków sprawiedliwości, a nawet gębowali o odbudowaniu Polski!

„Do tego tak szczerego wyznania doprowadziło socyalistów gorzkie doświadczenie, że *dobry Polak nie da się złapać socyalistom, chyba, że się poprzednio zniemczy.* My Polacy dumni możemy być z tego, że socyaliści, owi parobcy żydowscy, zwątpili o powodzeniu swej agitacyi pomiędzy ludem polskim!“

Dodajemy, że znana agitatorka p. Róża Luxemburg przeprowadziła też i na wiecu socyalistów w Bydgoszczy uchwałę, według której polskich socyalistów wcale się nie uznaje. *B. M.*

Przegląd prasy niemieckiej.

Co Niemcy o nas piszą?

Jedną z najprzykrzejszych pigułek, jakie Niemcy łykać zawsze muszą, ilekroć się poczną skarżyć, że Węgrzy lub Moskale prześladują w Siedmiogrodzie lub w Inflantach ich rodaków, była zawsze rzucana im w twarz przy tej okazyi objekcya: Wszakże wy też inaczej z Polakami sobie nie postępujecie — wskazujecie nawet innym drogę i sposoby ucisku i prześladowania!

Chcąc takim oponentom zamknąć usta usiadł p. Bergengrün do biurka i napisał w **„Berliner Neueste Nachrichten“** 2 feletony p. t. „Niemcy w prowincyach nadbałtyckich a Polacy w Prusach.“

Wyraża też zaraz na wstępie przekonanie, że ci, którzy twierdzą, iż rząd pruski postępuje z Polakami w wschodnich dzielnicach, jak rosyjski z Niemcami w nadbałtyckich, są w najzupełniejszym błędzie i wydają sąd powierzchowny, zdradzający brak znajomości stósunków. Nasamprzód kultura dzielnic nadbałtyckich stoi o całe niebo wyżej od oświaty w innych częściach Rosyi, a tę wyższość zawdzięczają one nie opiece ojcowskiej cara, tylko jedynie swej kulturze niemiecko-protestanckiej. W polskich dzielnicach Prus rzeczy mają się odwrotnie. Dopiero rząd pruski po długoletniej pracy wprowadził do zaniedbanych i upadłych dzielnic dobrobyt i obyczaj, on to dopiero dał Polakom „byt godny człowieka“, on stworzył „prawo“, rząd pruski wreszcie udzielił warunków do rozwoju stanu średniego, który umożliwia odrodzenie polskiego narodu.

W dzielnicach nadbałtyckich chodzi

nie tylko o język, ale o kościół i religią. Te święte dobra są, zdaniem jego, Polakom w Prusach najzupełniej zabezpieczone. Tu nie ma ani mowy o zaczepkach Kościoła katolickiego ze strony protestanckiego, a rząd pruski ponad granice parytetyczności „patrzy spokojnie na prowokacye i manifestacye, w których Kościół katolicki publicznie występuje, jako sprzymierzeniec wrogich niemczyźnie dążności.“ Zwłaszcza w Poznańskiem „używa i nadużywa“ Kościół katolicki „wprost bezgranicznej wolności“, oddając się na usługi „ruchu nie tylko wrogiego protestantyzmowi, ale także antyniemieckiego, skierowanego przeciw państwu.“ Kościół katolicki w Poznańskiem, twierdzi pan Bergengrün dalej, „odmawia przybyłym i wielkiej części oddawna zasiedziałych katolików niemieckich kapłanów niemieckich, podsyca w konfesyonale narodowo-polskie nadzieje co do odbudowania dawnego państwa polskiego, oderwania polskich dzielnic od Prus, czasu zapłaty, czyli upadku Prus...“ Taką „bezgraniczną wolność posiada Kościół katolicki w Prusach, gdy tymczasem ewangelicki w nadbałtyckich dzielnicach doznaje nieopisanego ucisku, (którego wprawdzie rząd ruski nie wywiera, ale mógłby wywierać).

A cóż dopiero mówić o wolności prasowej i obywatelskiej! Tu już ustaje wszelkie porównanie. Wolność ta nie ma poprostu granic. Wolno im bezkarnie krytykować w gazetach i na zebraniach przepisy rządu, przywódzcom ich wolno w granicach prawnych organizować opór przeciwko politykom rządowym. Prawdziwy raj na ziemi! Dantejskie piekło pod tym względem przedstawiają dzielnice nadbałtyckie.

Takie i tym podobne brednie popisał p. Bergengrün, który, jak obwieściła światu „**Kölnische VolksZtg.**“, jest nadbałtyckim Niemcem.

Organ ten Niemców katolików z nad Renu dał p. B. świetną odprawę, w której z gryzącą ironią przeciwstawia wszelkie wolności i przywileje, jakiemi się cieszą Niemcy nadbałtyccy, środkom ekstyrpacyjnym, zastósowanym przez rząd pruski przeciw Polakom.

Dalej przypomina „K. V.“ autorowi, że Niemcy w samym Petersburgu mają dwie czysto niemieckie szkoły, gdy tymczasem w Prusach nie wolno Polakom nawet prywatnie uczyć dzieci ojczystego języka i pisze wreszcie co następuje:

„Tak, pruscy Polacy prowadzą świetne życie i można im zazdrościć, ale jak pokazuje przykład, nie mają jednakże jeszcze tak dobrze, jak Bałtowie pod panowaniem bandery z krzyżem św. Andrzeja.

„Toć o Poznańskiem musi się słuchać niejednych, niepomyślnych rzeczy, ale skoro ono jest takim cudownym krajem wolności religijnej, to może to wynagrodzić wiele innych rzeczy. Wśród naszych czytelników nie znajdzie się, co prawda, żaden, któryby już wiedział o tem; ale — „ex oriente lux“; dopiero musi przychodzić ktoś z nad Bałtyku i nas oświecić pod tym względem. Spodziewać się należy, że Bergengrünowskie wywody przy kreśleniu dzielnic nadbałtyckich nie są tak operetkowe, jak jego przedstawienie „bezgranicznej wolności“ Kościoła katolickiego w Poznańskiem!“

Pan Bergengrün nie mógł strawić tych wywodów, „**Köln. Volks Ztg.**“ i napisał odpowiedź w „**Berlin. Neueste Nachr.**“, w których jednak nie zdołał zbić ani jednego argumentu katolickiej gazety; to też „K. V. Z.“ szydzi z p. B. co się zmieści. — W końcu tak pisze:

„Słowem pan Bergengrün spudłował znowu zupełnie. Ale nie jego w tem wina; największy dyalektyk byłby się rozbił o to zadanie. Jestto przykrą i wielce smutną, ale niewzruszoną prawdą, że w uciskaniu obcojęzycznych narodowości już znacznie prześcignęliśmy okrzyczanych Rosyan. Najlepszego potwierdzenia dostarczają nam wywody pana Bergengrüna, który mimo woli dał jasny na to dowód. Mimo to nasi hakatyści wołają w swej bezmyślnej złości, że to wszystko jeszcze nie wystarcza i obwołują rząd jako „słaby“, ponieważ tenże waha się kroczyć dalej na tej drodze bez widoków wyjścia.

„Nie jesteśmy Polakami, ale obstajemy przy zdaniu: *Justitia fundamentum regnorum.**) Dla tego zwalczaliśmy i będziemy zwalczali tę politykę, dopóki ją się będzie prowadzić dalej. To jest pierwsze. Po drugie jesteśmy przeciwnikami hakatyzmu z ogólnych względów politycznych, ponieważ te bezskuteczne zakusy germanizacyjne rozgoryczają Polaków i szkodzą bardzo Niemcom za granicą. Naśladują nasze dążności wynaradawiające ze szkodą Niemców, a nie mamy prawa skarzyć się na to. A jeżeli to jednakże czynimy, natenczas rozbrzmiewa śmiech szyderski ku nam. Wreszcie w ten sposób uzyskujemy to, że wszyscy Słowianie — od Moskwy do Krakowa i Pragi — łączą się przeciwko nam.“

Zatrzymaliśmy się naumyślnie tak długo przy tej szermierce, gdyż sprawa, którą p. Bergengrün wytoczył, miała nabrać znaczenia zasadniczego — i stać się wytłomaczeniem ucisku, jakiego Polacy doznają.

Prasę hakatystyczną uważają niektórzy Niemcy za plotkarkę, za pomocą której wszelkiego rodzaju wieści najlepiej się kolportują. Inaczej niepodobna sobie wytłomaczyć bezczelności ich korespondentów. I tak n. p. otrzymały „**Bromberger Tageblatt**“ i „**Berliner N. N.**“ z powiatu odolanowskiego następującą równobrzmiącą denuncyacyą:

„Nauczyciel protestancki Drange przy szkole symultannej w Zacharzewie w powiecie odolanowskim nakazał uczniom mówić podczas pauzy zawsze po niemiecku, o ile umieją. Wkrótce podpadło mu, że nie zawsze słuchano jego nakazu, i przy dochodzeniu przyczyny stwierdził, że ks. wikary Nowacki w Ostrowie dzieciom szkólnym, przygotowującym się u niego do przyjęcia Sakramentów św. nakazał pod zagrożeniem kary, aby na podwórzu szkólnem zawsze mówiły po polsku. Dziewczę, Michalina Owczarek, skarżyło ks. wikaremu Nowackiemu na rozkaz matki podczas nauki przygotowawczej do Sakramentów św., że chłopiec Ludwik Pietrzak oskarżył ją przed nauczycielem, iż podczas pauzy mówi po polsku. Na przyszłej lekcyi ks. Nowacki kazał wystąpić z ławki Pietrzakowi, mówił do niego gniewnie: „Czyś ty katolik, czy też żyd, że mówisz po niemiecku“ — i uderzył kilka razy ręką oraz książką. Zwróciwszy się do innych dzieci powiedział: „Wy nie macie na podwórzu szkólnem mówić po niemiecku, tylko po polsku“. — Podobnie rzecz się miała z dziewczęciem Maryanną Byzią, tylko pozostało w tym razie przy zagrożeniu batów. — Spodziewać się tedy należy, że rejencya nie pozostawi bez kary takiej obrazy niemieckości i powagi szkoły.“

Na to odpowiada ks. prob. Nowacki z Kępna w „**Berlin. N. N.**“ pomiędzy innemi:

„Nigdy nie udzielałem dzieciom szkólnym jakichkolwiek wskazówek, w jakim języku mają rozmawiać między sobą. Próbowałem, to prawda, pouczyć dzieci, jak mają się zachowywać w powrocie z nauki do spowiedzi, że zwłaszcza starsze osoby mają pozdrawiać i to chrześciańskiem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Dzieci z Zacharzewa powiedziały mi, że pan nauczyciel zakazał im używać tego pozdrowienia i już były karane za to. Przy tej sposobności Michalina Owczarek oświadczyła, że Pietrzak ją zadenuncyował u nauczyciela za mówienie po polsku. Nie zwróciłem na to uwagi i P. ani nie ukarałem, ani nie zganiłem. Przy innej sposobności, kiedy rozmaici ludzie uskarżali się przedemną, że dzieci powracające od nauki przygotowawczej do spowiedzi nie pozdrawiają ich wcale, albo co najwyżej powitaniem „Morgen“ albo „Gutentag“, a niekiedy nawet zaczepiają ich, wtenczas starałem się nauczyć dzieci przyzwoitego zachowania się, a zwłaszcza używania chrześciańskiego pozdrowienia. Powiedziałem im, że nie są żydami, tylko katolikami nie powinny się wstydzić pozdrowić imieniem Zbawiciela na ulicy. Ponieważ przygotowanie polskich dzieci odbywa się po polsku, przeto mówiłem do nich naturalnie w polskim języku. A więc nie język niemiecki poczytywałem dzieciom za złe, tylko pomijanie chrześciańsko-katolickiego pozdrowienia.“

Ponieważ w każdym narodzie znajdują się uczucia szlachetne, więc też już wśród Niemców odzywają się coraz dobitniej głosy oburzenia na hakatystów. Potomkowie szlachetnych rycerzy niemieckich już od lat nawołują rząd pruski do odwrotu z krucyaty przeciw Polakom.

„**Deutsch. Adelsblatt**“, organ związku szlachty niemieckiej referując o zajściu we Wrześni, tak pisze:

„Że policya i żandarmerya przywróciły znowu porządek, o czem gazety donoszą ze zadowoleniem, jest rzeczą oczywistą. Ale o czem nie umieją zareferować, to o tem, jak wyglądało w sercach krzykaczy. *Zupełnie, tak samo, jak w tak z nami ściśle zaprzyjaźnionem państwie ościennem, gdzie przecież także* **kozacy uspokoili zrozpaczonych**. Dziwnem jest tylko to, jak nasze pisma liberalne tak odmienną miarą mierzą, tak podobne zajścia z tej i z tamtej strony granicy naszego państwa. Co u nas jest dozwolone, tego i tam nie powinno się przecież potępiać. Nie wahamy się oświadczyć, że fałszywą wydaje nam się droga, na której pozwala się popychać dalej przez prasę szowinistyczną. Czy istotnie chce się za pomocą sześciu plag na rękę tak, że aż palce nabrzmiewają, wpoić w dzieci szkólne miłość dla niemieckiej ojczyzny? Oświadczamy także, iż odmowę udziela-

*) Sprawiedliwość jest podstawą państw.

nia nauki religii w ojczystym języku uważamy za niebywale twardy przepis w państwie ucywilizowanem, przepis, który nigdy nie doprowadzi do celu. Ale nie śmie się podnieść głosu na rzecz wymagań spokojnej rozwagi, ponieważ się pozostaje pod zaklęciem fałszywie zrozumianej polityki narodowej.“

Dla charakterystyki stosunków w Niemczech dodajemy, że na drugi dzień po wydrukowaniu powyższych słów pieniła się „Tägl. Rundschau“ ze złości, krzycząc:

„Jak długo jeszcze znosić będzie chrześciańska szlachta narodu niemieckiego takie wyszydzanie władzy ze strony swego organu dla przypodobania się polonizmowi? I jak długo jeszcze będzie brat cesarzowej niemieckiej protektorem tego towarzystwa?“

Cóż tu na taką przewrotność powiedzieć? S.

Głosy od Przyjaciół.

Bucz pod Śmiglem.

Potrzebę łączności jednostek w jeden silny łańcuch, podniętę i zachętę do tej łączności znajdujemy w pismach naszych, bądź przez nawoływanie, bądź przez sprawozdania towarzystw ze wszystkich stron świata. Jeżeli pima nasze bez względu na trudne swe w obecnych czasach położenie zachęcają społeczeństwo do wspólnej pracy, jeżeli czynią to stale i z wytrwałością podziwienia godną, to dają one nam przez to przykład sumiennego wykonywania obowiązków, wzmacniają w nas i ożywiają wiarę i nadzieję w lepszą przyszłość. Cześć im!

Nam czytelnikom na te zachęty ze strony naszej prasy odpowiedzieć należy czynem.

W tem przekonaniu zawiązało się też u nas w Buczu, wiosce o milę od Smigla odległej Katolickie Towarzystwo Robotników Polskich pod wezwaniem św. Benona.

Dnia 12 maja b. r. na mocy osobnego zaproszenia zebrali się parafianie buccy ku temu celowi w wozowni plebańskiej, ponieważ mieszkanie jest zbyt szczupłe. Staropolskiem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus powitał miejscowy proboszcz ks. Wnętkowski przyszłych członków towarzystwa i dawszy wyraz zadowolenia z powodu licznego zgromadzenia zabrał się do odczytania i objaśnienia ustaw Katolickiego Towarzystwa Robotników Polskich w dyecezyi Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. Ustawy podpisali wszyscy zgromadzeni, których było przeszło 40. Nastąpiły wybory wydziału Towarzystwa i jednogłośnie wybrani zostali:

Prezesem ks. proboszcz Wnętkowski z Bucza; skarbnikiem Teofil Bieśniak z Barchlina; sekretarzem Antoni Karpiński z Bucza; zastępcą jego Szczepan Sobierajski z Bucza; bibliotekarzem Marcin Szymański z Boszkowa: zastępcą jego Andrzej Ratajczak z Bucza.

Na radnych: Jan Markowski z Barchlina; Franciszek Witkiewicz z Bucza; Wojciech Witkiewicz z Boszkowa.

Zaszczyceni wyborem członkowie podziękowali wyborcom za zaufanie i przyrzekli obowiązki z urzędem honorowym połączone wypełniać sumiennie.

Ks. proboszcz z radością niekłamaną powitał nowo założone towarzystwo i oświadczył, iż chętnie wstępuje na to nowe pole pracy poza murami świątyni ożywiony tą błogą nadzieją, iż Opatrzność jego dobrym i szczerym chęciom pobłogosławić raczy. Po serdecznem przemówieniu ks. proboszcza uchwaliło Towarzystwo ilość wstępnego i składek miesięcznych, zarazem postanowiono o założeniu Towarzystwa zawiadomić patrona JWks. prałata Stychla, proboszcza u Fary w Poznaniu. Kiedy na wezwanie przewodniczącego nikt z obecnych głosu nie zabrał, posiedzenie zostało zamknięte trzykrotnem gromkiem: Niech żyje! na cześć Towarzystwa. Ten sam okrzyk i z takim samym zapałem powtórzono na cześć ks. proboszcza, kiedy tenże żegnając się z członkami Towarzystwa opuszczał miejsce zebrania.

Kukuk.

(Nowo zawiązanemu Towarzystwu „Szczęść Boże“ przyp. Red. „Pracy.“)

* * *

Gliwice, Górny Slązk.

Szanowna Redakcyo Pracy!

Ponieważ „Praca“ często w swych łamach obszerne artykuły Górno-Ślązakom poświęca, postanowiłem o stosunkach naszych w niej napisać, aby czytelnikom dać znać, że i my w Gliwickiem nie śpiemy, ale idąc naprzód śledzimy wszystko, co się wokoło nas dzieje, czerpiąc odwagę i świadomość swoją z naszej „Pracy“, która tu coraz większe koło zwolenników sobie zjednywa.

Jest to naturalnem następstwem, że skoro duch narodowy coraz więcej się budzi, to też szuka i żąda od gazet swoich coraz większej odwagi i oporu, to też takie gazety jak „Praca“ z Poznania coraz więcej się tu rozpowszechniają, bo „Praca“ zna doskonale nasze stosunki górnośląskie. Przytoczę dwa ustępy, które wyczytałem w niej w artykułach o Górnym Śląsku. W jednym numerze było tak: „Jeżeli ruch polski na Górnym Śląsku nie weźmie w swoje ręce mandatów do parlamentu, to je weźmie socyalna demokracya,“ a w innem miejscu czytałem zaś: „Już lud polski na Górnym Śląsku w przeszłych wyborach życzył sobie polskich posłów.“ I to jest prawdą, że już w przeszłych wyborach życzyliśmy sobie wybrać Polaka, a że się to nie stało, i że wybrany został hrabia Balestrem tu w Gliwicach, to jest winą nie naszą, bo świeżo jeszcze mam w pamięci to szamotanie się polskich wyborców z Niemcami. Niemcy wiedząc, iż śląskie pisma polskie postanowiły nie mieszać się do wyborów, umyślili zwlekać, do ostatniej chwili z postawieniem kandydata aż dopiero w niedzielę przed wyborami zwołane zostało zebranie do sali giełdowej w Gliwicach, na które też hrabia Balestrem przybył, aby być świadkiem tego, iż prawie gwałtem narzucony nam został. Temu zebraniu przewodniczył ks. proboszcz Buchali z Gliwic i gdy po otwarciu zebrania w niemieckim i polskim języku wysławiając pod niebiosa zasługi Balestrema zapytał potem zebranych: „Czy chcecie go mieć na posła?“ to na całej sali rozległ się jeden okrzyk: „Nie chcemy go! Nie chcemy!“ Ci zaś księża i inni centrowcy, którzy przy nim byli, chcąc zagłuszyć protest ludzi i oszczędzić trochę hańby hrabiemu, klaskali w dłonie, poczem znowu mówca polecając go dalej na posła zawołał: „On jednak będzie naszym posłem,“ a lud znowu wołał: „Nie będzie nigdy! Nie będzie!“ i rozgoryczeni wyborcy zaczęli wychodzić ze sali a księża za nami wołali: „To z was katolicy dopiero!“ Dlaczegoż jednak Balestrem wybrany został, zapyta może niejeden? Oto dlatego, że nie było przywódcy żadnego przy nas! Księża szli za Balestremem; nasze pisma stały na uboczu, a czas już był spóźniony, abyśmy mogli na własną rękę kandydata stawiać, dlatego tyle głosów potem na socyalistę padło nie z przekonania, lecz na złość Balestremowi, inni zaś przekreślając nazwisko Balestrema na kartkach, pisali redaktor Dombek z Bytomia, a wielu innych wcale do głosowania nie poszło. Powszechnie tu teraz mówią, iż w przyszłych wyborach tak będziemy głosować, jak nam nasza „Praca“ z Poznania da hasło: — „Na swego! na Polaka!“

Górno-Ślązak.



SOBÓTKI.

„Gdy słońce raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w *Czarnym-lesie*.“
Jan Kochanowski.
(Pieśń świętojańska o Sobótce.)

Z dwóch illustracyi, które podajemy, pierwsza przypomina nam Sobótkę we wsi dziedzicznej Jana Kochanowskiego, *Czarnolesiu*, w sandomierskiej ziemi, którą sam ten wielki poeta opisał w jednej z najpiękniejszych pieśni swoich.

Słowik już ze wdzięcznym śpiewem zamilka, według dawnej ludowej przypowieści, że *na św. Wit, słowik cyt!* (od dnia 15 czerwca). W wigilią św. Jana zwyczaj dawny zapala święte niegdyś ogniska.

Jak widzimy na pierwszej illustracyi (z rysunku Pillatego, podług opisu Jana Kochanowskiego), w leśnej dąbrowie goreje stos sobótkowy. Z jednej strony stoi trzech dudarzy, grających na tych narodowych instrumentach; poniżej siedzi grajek wiejski, wtórujący im na skrzypkach lipowych. Z przeciwnej strony sześć par dziewcząt wiejskich, jednakowo ubranych, zatacza starożytny taniec *koło* parami. Każda z nich na głowie ma wieniec z *bylicy (artemisia vulgaris)* i takimże wieńcem przepasana przez ramię.

Za dudarzami, na wynioślejszym wzgórku, stoi w gronie gości i domowników swoich poważny wieszcz czarnoleski, smętny i zamyślony. Przybył w tę dąbrowę, ażeby być świadkiem starodawnego zwyczaju; ale troska zasępiła pogodne czoło poety-rolnika, bo stracił ukochaną *Urszulkę*, po której zgonie wyśpiewał te śliczne a tęskne treny, co przeszły do nas i pozostaną zawsze wzorem najserdeczniejszej elegii w języku ojczystym.

Przysłuchuje on się pieśniom śpiewanym przez dziewoje uwieńczone, z których zaczerpnął wątek do swej *Sobótki*, a może kilka z nich zachował wiernie w ich pierwiastkowej prostocie. Posłuchajmy ustępu jednego, co dokładnie maluje nam sam obrzęd świętojański:

Siostry, ogień napalono,
A placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłej wody;
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannej zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawżdy Sobótka palana.

Dzieci, rady mej słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie,
Święto niechaj świętem będzie,
Tak bywało przedtem wszędzie.

A teraz ten wieczór sławny
Święćmy, jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

W dniu tym noc najkrótsza, dlatego całą przebawiano przy igrzysku starodawnem, przy gędźbie dudarzy i skrzypków, przy wdzięcznym śpiewie dziewoi wiejskich, co powtarzały pieśni sięgające czasów przed-mieczysławowych.

Na drugiej illustracyi widzimy Sobótki jak je teraz po wsiach obchodzą. Już to nie uroczystość poważna jak w Czarnolesiu, ale rozrywka jedynie tradycyjna dziatwy wiejskiej, co ochoczo skacze przez płomień ogniska, a grono otaczające poważniejszych gospodarzy i gospodyń, patrzy bez wielkiego współczucia na te igraszki młodzieży. Zdala na koniu siedzi dziedzic wioski, co zwabiony raźnym okrzykiem młodzieży sielskiej, zbliżył się pod ognisko i pogląda z zajęciem na obchód dnia uroczystego niegdyś w całej Polsce. Naleci mu w pamięć z czasów szkolnych ów dwuwiersz z *Sobótki* Jana Kochanowskiego:

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?



Sobótka dawna.

Ale gdy wspomni na troski codzienne, co mu zatruwają spokój domowego ogniska, z westchnieniem bolesnem opuści smutnie głowę na piersi i samotnie wraca do dworu. Przez okna otwarte widzi płomień i dym z ogniska, słyszy radosny okrzyk wiejskiej młodzieży: to rozchmurza mu zasępione czoło, pierś swobodniej oddycha, a przy ochoczym gwarze ludu, i on czuje szczęście prawdziwe. Już teraz chętniej z Kochanowskim powtarza:

„Wsi spokojna, wsi wesoła.“

* * *

Nazwa sobótki, jako od dnia sobotniego pochodząca, nie była oczywiście ani pierwotną, ani powszechną w całej Polsce. Lud mazowiecki i podlaski na prawym brzegu Wisły, nad Narwią i Bugiem zamieszkały, obrzęd ten znał tylko pod mianem Kupalnocki. U Mazurów nadnarwiańskich w wigilię św. Jana, po zachodzie słońca, gospodynie



Sobótka teraźniejsza.

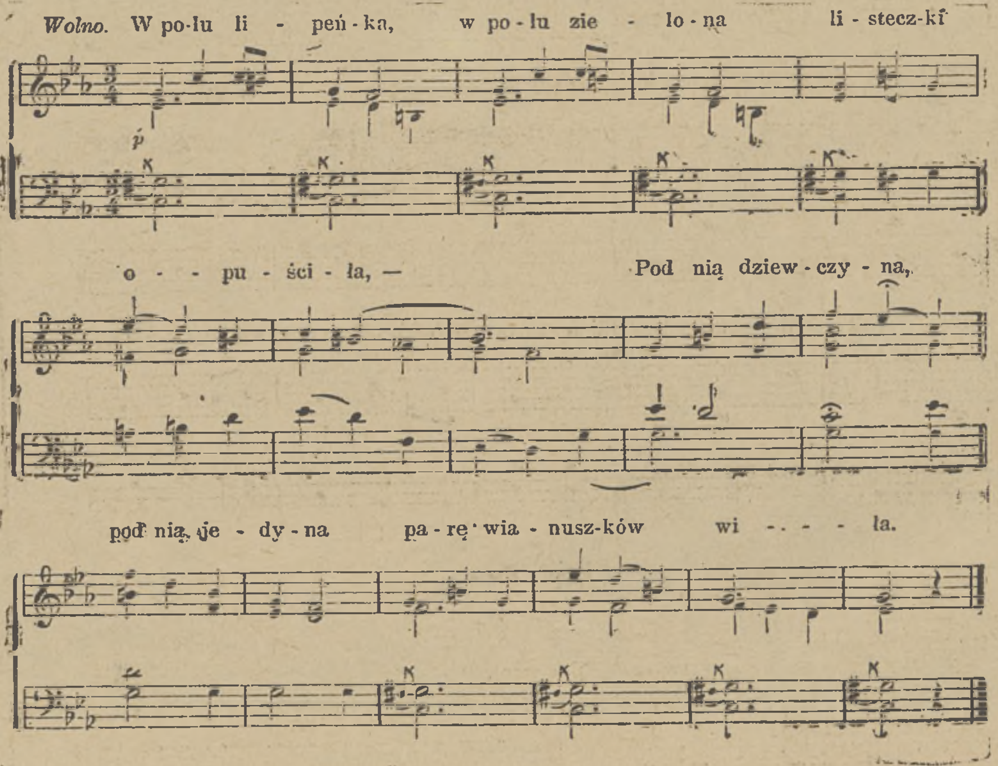
i dziewczęta, zebrane na łące nad strumieniem, rozpaliwszy „Kupalnockę“, baczyły, czy się wszystkie z wioski zebrały. Która nie przyszła, tę podejrzywano, że jest czarownicą. Następnie biesiadowały, śpiewały pieśni starożytne, tańczyły w krąg ogniska i z każdego gatunku przyniesionych ziół rzucały w ogień po gałązce, mniemając, że dym z tych ziół zabezpieczy ich od złego. Resztę zabierały do domów, aby pozatykać w strzechy chat, obór i stodół. Około północy, mocniejszy roznieciwszy ogień, pozostałe napoje weń wlewały, a jedna z dziewcząt wieniec uwity z bylicy i ziół innych rzucała na wodę strumienia, przyczem wszystkie zawodziły pieśń odwieczną i bardzo piękną:

W polu lipeńka, w polu zielona,
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna,
Parę wianuszków wiła.
Oj czego płaczesz, moja dziewczyno,
Ach cóż ci za niedola?
Oj nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach będziesz ci go miała.
O mój Jasieńku, o mój jedyny,
Da stałaś mi się szkoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda.
Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie kłopocz ty się o nie,
Oj mam ja parę białych łabędzi,
Popłynąć one po nie.
Już jeden płynie, po rokicinie,
Goni za wiankiem strzałą,
Już drugi płynie, aż się odhynie,
Ale z pociechą małą.
Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie,
Moje wianeczki z drobnej ruteczki,
Mamli was stracić marnie?
Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka, moja dzieweczka,
Już ja cię nie pocieszę.
Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie,
Wianeczka nie przyniosły,
Tylko rąbeczek, to na czepeczek,
Na twoje złote włosy.

Sobótka na Rusi zowie się *Kupałą*, a liczne ślady tego obrzędu z Wołynia, Ukrainy, Litwy i Białejrusi opisali nasi zbieracze rzeczy ludowych: Marcinkowski, Stecki, Eust. Tyszkiewicz i inni. Seweryn Goszczyński osnuł cały poemat na tle sobótki karpackiej, a Wincenty Pol w Pieśni o domu naszym opisał „Wielkie wianków święto.“

Każdy naród słowiański, który pragnie własne życie rozwijać, musi w swojem piśmiennictwie, w swej sztuce, widowiskach, zabawach i rozrywkach, podnosić, odtwarzać i wyzyskiwać obrazy obyczaju swego z przeszłości i zachowywać piękniejsze zwyczaje praojców swoich, takie, n. p., do jakich należy sobótka i wianki. Z powyższego też względu przytoczymy tu jeszcze niektóre szczegóły o zwyczajach powyższych z różnych czasów i różnych stron naszego kraju.

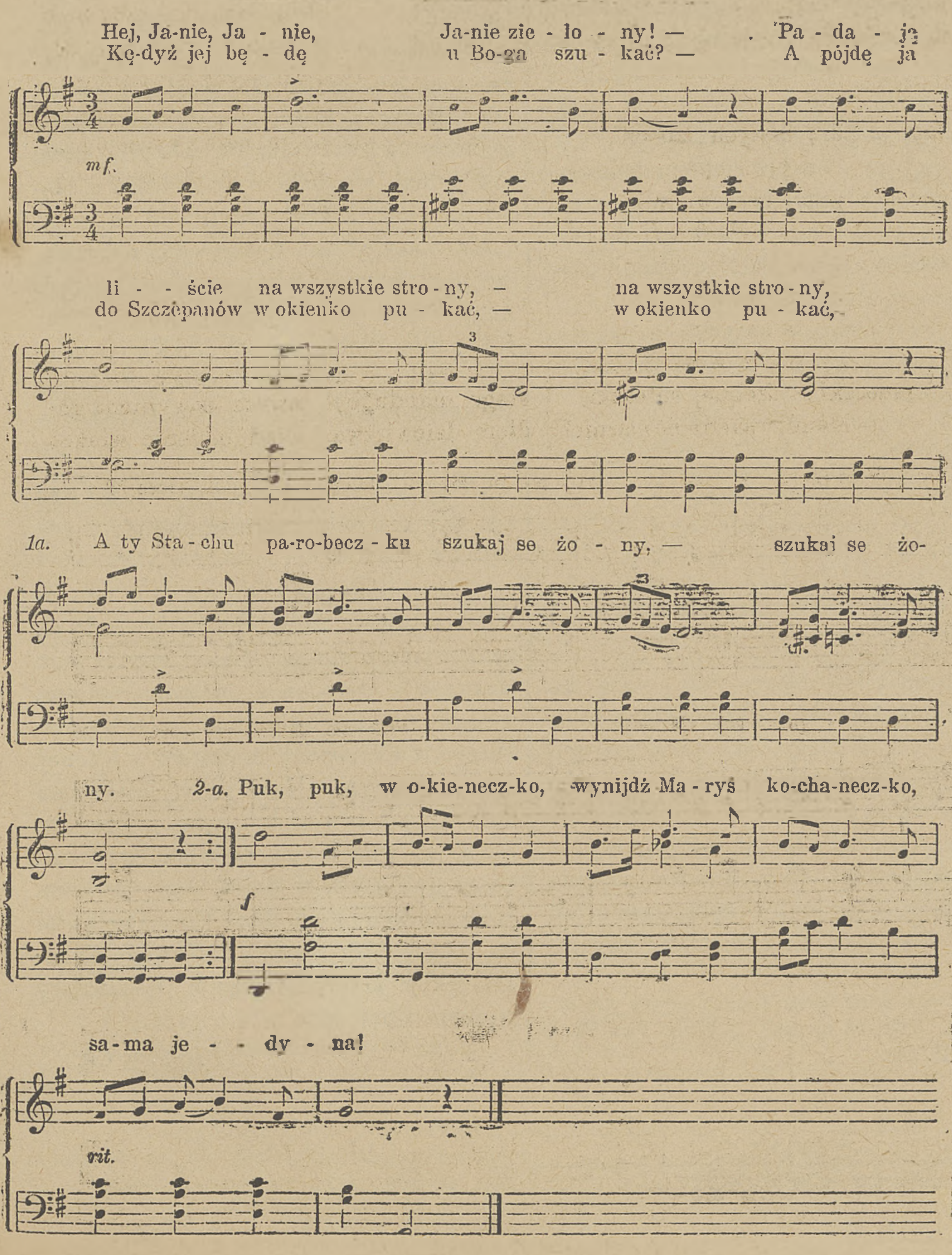
Wieniec w prastarych pojęciach naszego narodu był zawsze szczytnem godłem dziewictwa. Ztąd oddanie wieńca



młodzianowi przez dziewicę, jest symbolem oddania mu serca i ręki, symbolem zamążpójścia. Dziewczęta więc dla wróżby zamążpójścia, puszczają wianki swoje na nurty rzek ojczystych, a młodzieńcy na łódkach i czołenkach uganiają się po falach za wieńcami. Tak w wieczór sobótkowy i kupalnocny płynęły wieńce cór lechickich po: Wiśle, Odrze, Warcie, Narwi, Bugu i setkach wpadających w nie „dunajów“ naszych, a echem odwiecznych pieśni lechickich brzmiały szeroko doliny i gaje oświetlone łunami stosów sobótkowych. Podobne widoki musiały się roztaczać w wyobraźni twórcy „Pieśni o domu naszym,“ gdy kreślił słowa:

Zbierz się synu, siadaj w krypę,
Nie na pogrzeb, nie na stypę,
Popłyniemy dzisiaj z wodą;
Lecz na wielkie wianków święto:
To zrzuć z duszy ducha pęto,
Tchnij miłością i swobodą.
Patrz! jak Wisłą płynąć miło:
Jakie sioła, jakie grody!
. . . .
Już się słońce w nieszpor chyli,
Patrz, jak roi się na moście!
Jakie stroje, jakie goście!
Dobrze, żeśmy wczas przybyli:
Tu się spotkasz i z urodą
I z powagą i z zasługą,
Jak wianeczki puszczą z wodą;
Na co czekać już nie długo.
. . . .
Jak rybitwy strojne łodzie
Już szybują po tej wodzie,
I na wieniec każdy czyha;
I nie jedno serce wzdycha,
Czy szczęśliwie wieniec spłynie:
Kto go chwyci na tej fali?
Czy na wirze gdzie zaginie,
Czyli gładko spłynie dalej?
. . . .
Pluszczą łodzie, płyną wianki —
I nie jedno serce bije,
I nie jedno stanie w szranki,
Co się na dnie duszy kryje.

Sobótka, Kupalnocka, Wianki były uroczystościami dziewic polskich. Kolberg i Gregorowicz piszą: że w Sandomierskiem dziewczęta same rozpalają ogień sobótkowy (z użyciem suchej bylicy), że wziąwszy się potem za ręce i utworzywszy wielkie koło, pląsają w jedną i drugą stronę w krąg ogniska.



Był takim widocznie prastary obrzędowy taniec sobótkowy dziewcząt lechickich. Ubrane w bieli, fantastyczny przedstawiają widok na ciemnem tle nocy. Buchający ogień odznacza na ziemi przesuwające się szybko ich cienie, które olbrzymieją w oddaleniu. Pieśń mazowiecka z nad Narwi jasno określa: że Kupalnocka była obrzędem dziewic. Opisuje bowiem, że „koło Jana, koło Jana — tam dziewczęta się schodziły“, że gdy ich północ tam zaszła, poprzykrywały się chusteczkami i rosa na nie zimna padała.

Do najmelodyjniejszych i zawsze śpiewanych pieśni sobótkowych w Sandomierskiem należy następująca:

Hej Janie, Janie, Janie zielony!
Padają liście na wszystkie strony,
na wszystkie strony.
— A ty Stachu parobeczku
Szukaj se żony, szukaj se żony.
— Kędyż jej będę u Boga szukać?
Oj pójdęja do Szczepanów w okienko pukać,
w okienko pukać.
Puk, puk w okieneczko,
Wyjdź Maryś kochaneczko,
sama jedyna!

W podobny sposób śpiewają do wszystkich we wsi młodzianów i dziewcząt, wymieniając ich imiona. Do tych dwojga, o których wiadomo, że mają się ku sobie, albo swatani są przez ludzi, śpiewają trzecią zwrotkę w podobny sposób:

Zosieńka wyszła, rączkę mu dała,
A witajże, witaj, witaj mój Jasieńku,
Będę cię chciała.

Do dziewcząt zaś nie okazujących wzajemności:

Maryś nie wyszła, siostrę wysłała,
Siostro moja, siostro, staw się za mnie ostro,
Jakby ja sama.

Ksiądz Janota powiada, że u ludu polskiego w Galicyi, gdy się ściemni w wieczór Zielonych Świątek, wychodzą wszyscy w pole. Parobczaki układają z chróstu stos ogromny, ale najprzód obchodzą z pochodniami miedze swych pól, a potem zapalają „sobótkę“, muzyka gra, strzelają, tańczą koło ognia i skaczą przezeń. Gdy się sobótka dopali, czynią znak krzyża św. nad ogniskiem. Indziej po „sobótce“ obchodzą zboża z pochodniami, śpiewając pieśni nabożne. Piękny to widok w nocy, jak w całej okolicy, każdy biega z żagwią gorejącą około swego pola. Indziej wbijają wysoki pal na wzgórzu, owiązany chróstem i słomą, i zapalają go, co sprawia widok słupa ognistego, strzelającego łuną w niebo.

K. Wł. W.

Święty Jan Chrzciciel.

(Do illustracyi albumowej.)

Stoi on prorok ogorzały,
W oczach błyszczący słońcem chwały;
Wiatr mu odwiewa włos w nieładzie,
On na powietrze rękę kładzie,
I wiatry cichną, słowo płynie:
Czego wy przyszli na pustynie?...
Kornel Ujejski.

Patrz, jak w pustyni, przed gmin stając mnogi:
Prostujcie — woła — bracia, wasze drogi,
Bowiem się zbliża... już widna, już w sieniach,
Ta postać biała, ta głowa w promieniach!
Lenartowicz.

Kościół nasz święty, od najdawniejszych już czasów, trzy tylko uroczystości narodzin obchodzi: Boże Narodzenie, Narodzenie Najśw. Maryi Panny i św. Jana Chrzciciela [1])

Św. Jan, bowiem, był jakoby pierwszym brzaskiem zbliżającego się Odkupienia, Marya — gwiazdą zaranną, a Chrystus Pan: samem już słońcem, samą światłością, oświecającą wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego (Jan, I, 9).

Zwiastun i Chrzciciel Chrystusów był w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu cudownem dzieckiem. Cały szereg cudów [2]) towarzyszył jego poczęciu i narodzeniu, bo chciał Bóg zwrócić na niego szczególną uwagę Judei. „Co, mniemasz, za dziecię to będzie?" (Łuk. I, 66) pytano zewsząd ciekawie, domniemywając się w przyszłym potomku starego Zacharyasza jakiegoś opatrznościowego człowieka. I rzeczywiście, dziecię to, które „skoczyło od radości w żywocie matki" (Łuk. I, 44), gdy ją nawiedziła, jako swą ciotkę, Matka Boża — rozmogło się w męża wielkiego i hartownego, o którym sam Chrystus rzekł do uczniów jego: „Zaprawdę, powiadam wam, nie powstał między narodzonymi z niewiast większy od Jana Chrzciciela (Mat. XI, 11). Już w dzieciństwie (Łuk. I, 80) opuścił on dom rodziców, aby się życiem pustelniczem przygotował do swego posłannictwa. Puszcza była mu szkołą, a nauczycielem sam Duch Św. według tych słów Ozeasza: „zawiodę ją (duszę) na puszczę, i będę mówił do serca jej" (II, 14). Niebios sklepienie było mu dachem na dzień, a na noc groty skalne i drzew gałęzie: karmił się miodem pszczół leśnych i szarańczą, a — jak ślicznie mówi Lenartowicz — „trawa jego obrus, a liście talerze". I gdy doszedł do lat 30, odziany w skórę wielbłądzią, wychodzi z ukrycia i staje przed Izraelem, głosząc pokutę. Jak heroldowie ongi, uprzedzając przejazd wschodnich satrapów, torowali im drogę przez manowce i knieje, tak i herold Chrystusów „gotował drogi Pańskie i czynił proste ścieżki Jego" (Mar. I, 3). A drogi te, które już dawno przedtem wytykali prorocy, za dni Jana mocno zagmatwały stronnictwa żydowskie, mianowicie faryzeusze i saduceusze, tak, że nie prowadziły już one do Mesyasza, ale raczej zbaczały ku złotemu cielcowi. Grzmiał więc głos wołającego na puszczy (Mat. III. 3): „Rodzaju jaszczurczy, któż wam pokazał, abyście uciekali od przyszłego gniewu? Czyńcież tedy owoc godny pokuty... bo już siekiera do korzenia drzew jest przyłożona". A głos ten przebiega łoskotnem echem aż do naszych czasów, ponad XIX wiekami, miotając gromy gniewu Bożego...

W przepysznych antytezach parafrazuje Ujejski gromiące mowy św. Jana:

Ty, co żelazne nosisz sztaby,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty słaby.
Ty, co oblokłeś jedwab drogi
Słuchaj! ja mówię, żeś ubogi.
Ty, jak pergamin mędrco trupi,
Słuchaj! ja mówię, żeś ty głupi!
Bo duch w zaklęctwie swem nie siedzi:
Ani w koryndkiej złotej miedzi,
Ani w purpurze, ani w księgach...

I chrzcił Jan tłumy całe wodą ku pokucie, zapowiadając Tego, który mocniejszy jest od niego, któremu nie godzień był, upadłszy, rozwiązać rzemyka trzewików Jego (Mat. I, 7), a który będzie chrzcił Duchem Św. i ogniem.

Wtem, wśród tych tłumów pojawia się 30-letni Chrystus i żąda chrztu od Jana. Wzbrania się „anioł" [3]) Chrystusów, domagając się raczej chrztu Zbawicielowego. Ale rzekł mu Jezus: „Zaniechaj teraz" (Mat. III, 15); i wszedł w wody Jordanu, a z konchy muszlowej polała się woda na głowę Jego. A był to chrzest posłannictwa mesyańskiego, którego sam Duch Św. udzielił Chrystusowi Panu, jako człowiekowi, przez posługę i pośrednictwo Jana.

Odtąd też, jak pięknie mówi Veuillot, przez chrzest Chrystusa w Jordanie, wszelkie wody nabyły mocy chrztu, ku gładzeniu grzechu pierworodnego.

Tu Jan stanął na szczycie swojej wielkości, jak to i w hymnie brewiarzowym śpiewa Kościół:

Nikt z ludzi nie miał tak ogromnej chwały,
Nikt się nie zrodził świętszym nad Cię Janie:
Ty myjącego ze zbrodni świat cały
Myłeś w Jordanie.

Lecz od tej pory, jak sam mówił: „On ma rość, a ja się umniejszać" (Jan, III, 30) w rozgłosie i znaczeniu. Już przed chrztem wskazał był na Chrystusa rzeszom, nie znając Go wcale, i rzekł: „Oto Baranek Boży, oto, który gładzi grzechy świata!" (Jan, I, 29). Nie łatwo mu jednak przyszło wyprowadzić z błędu uczniów, którzy przylgnęli do niego i Mesyasza w nim upatrywali, podsuwając mu nieświadomie samozwańcze pokusy. Przez pewien czas nawet, jak nas informują Dzieje Apost. (XIX), uczniowie Janowi tworzyli osobne religijne stowarzyszenia i dopiero św. Paweł wielu z nich nawrócił.

Tacy jednakże wielcy ludzie, jak Jan św. nie umierali wówczas śmiercią naturalną.

Herod Antypas, obawiając się ogromnego wpływu Jana na masy ludowe, oraz mszcząc się na nim, iż gromił jego stosunek z Herodyadą, własną bratową, wtrącił go do więzienia w twierdzy Macherus, nad morzem Martwem położonej. Znana intryga Herodyady niebawem sprawiła, iż krwią brocząca głowa św. Jana pojawiła się na półmisku w w sali balowej Heroda, w dzień jego urodzin. Lecz olbrzymi duch Jana Chrzciciela stoi na rozgraniczu Starego i Nowego Zakonu, jakby kolos świetlany, wskazujący wiekom Chrystusa...

Ks. Ignacy Ch.

[1]) Wyznaczył Kościół to ostatnie święto na 6 miesięcy przed Bożem Narodzeniem, bo tak było historycznie.

[2]) Pięć mianowicie zdarzyło się cudów: 1) Zwiastowanie przez Archanioła Gabryela Zacharyaszowi; 2) oniemienie Zacharyasza, iż nie uwierzył słowom anielskim; 3) dotychczasowa niepłodność i starość św. Elżbiety; 4) radosne podskoczenie dzieciątka w łonie matki; 5) przywrócenie mowy Zacharyaszowi w dzień obrzezania św. Jana.

[3]) Anioł, z greckiego *ángelos*, znaczy właśnie *zwiastun*. Tak też nazwał Chrystus Pan Jana (Łuk. VII, 27).

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

I.

Było to w niedzielę, mniej więcej o godzinie piątej z wieczora, a działo się w Warszawie w końcu roku 1862-go.

Ulicą Bednarską szła sobie niemłoda kobieta, głowę miała zawiązaną kraciastą chustką; inna chustka w czerwone i zielone paski, okrywała jej ramiona, szlafrok perkalikowy na niej ćmił oczy widzów tęczowemi kolorami. Kobieta była wzrostu nizkiego a dobrej tuszy; pyzate jej lica miały kolor rozwiniętej piwonii, grube jej ręce były podobne do sporej objętości wałków, a nogi jej wsadzone w wydeptane, skórzane trzewiki, przypominały łapy nosorożca.

Na pierwszy rzut oka zrozumiesz, że masz do czynienia z siedziarką. Pani Katarzyna należy do cechu kobiet, trudniących się kupczeniem wiktuałami, sławnych z kwiecistej wymowy, wielkiej krwistości, ale i prostoduszności zarazem.

Co tam wiele mówić; dziś jest niedziela, pani Katarzyna o dziesiątej rano wpakowała mężowi na plecy kosze z kapustą i marchwią, i powiedziała do niego: nieś Mikołajku do domu; sama zaś wypiwszy w szynku pod „śledziem“ spory kieliszek kontuszówki, szła prosto do Bernardynów na sumę. Po sumie zajrzała pani Katarzyna do domu; wykłóciwszy się z mężem, wyczubiwszy jedynaka syna Wojtka, wyszturchawszy dziewczynę służącą Frankę, uporządkowawszy całe gospodarstwo i dogotowawszy obiadu, poszła z powrotem pod „śledzia.“

Wychodząc z domu, wydała następne rozkazy:

— Ty Franka posprzątaj i idź na nieszpory, a nie baw się długo; ty Wojtek siedź w domu, ani mi się pokaż za progiem, bo bym ci twój łeb urwała; a ty Mikołaju prześpij się trochę i przyjdź potem pod „śledzia;“ ranoś pałkę zalał, nie dam ci jej popołudniu zalać.

Pod „śledziem“ zeszło się wiele kumoszek; rozprawiały tu z wielką filozofią o marnościach świata, a z wielką znajomością rzeczy o wypadkach codziennego życia; były w dobrej ze sobą komitywie i z ócz im patrzyły najistniejsze gołębie; ugaszczały się kieliszkami wspólnie; kontuszówka była dobra, więc się namawiały do niej; nigdy jeszcze nie panowała między niemi tak dobra jak dzisiaj harmonia; po kilku kieliszkach poczęły się do siebie rozczulać, rozczulone ugaszczały się dalej i wszystko szło najzwyklejszym w świecie trybem.

— A mój stary nie przychodzi jakoś — mówiła z tęsknotą pani Katarzyna.

— Wiecie, możeby i pójść po niego — doradziła kumoszka kowalka.

— Jak Boga kocham, że pójdę; rano zalał pałkę, tom mu się kazała po obiedzie przespać; nie wiem, czy on teraz śpi, czy nie śpi?

— Jużcić spać musi, boby dotąd sam przyszedł.

— Ano to go pójdę zbudzić.

Pani Katarzyna wyszła z pod „śledzia“ z zamiarem rychłego powrotu, w towarzystwie męża. Skręcającej w Bednarską ulicę, poczęło się roić po głowie; miała rano sprzeczkę z sąsiadką, ni ztąd ni zowąd przypomniała jej się ta sprzeczka i zdało jej się, że stanęła przed nią adwersarka i grozi jej i wyzywa ją i jej pokolenie.

— A ty nosienie! i ty mówisz mnie takie rzeczy! — wrzasła pani Katarzyna i wyciągnęła rękę pod nos adwersarki, który w ognistej jej fantazyi nabierał niezmiernych rozmiarów.

Przechodnie poczęli przystawać i przypatrywali się ekstazie porządnie podchmielonej przekupki.

Pani Katarzynie zdało się, że nos, któremu groziła, poczyna się kiwać i grozić jej nawzajem; widziała najwyraźniej ten nos olbrzymi, rosnący jakby na drożdżach i szydzący z niej dwoma wielkiemi dziurkami.

— No i co ty sobie myślisz, ty mi grozić będziesz? — wrzasnęła z całego gardła — a wiesz ty, kto ja jestem? jestem Katarzyna Bomba, a mój mąż to Mikołaj Bomba, a mój Wojtek także Bomba, wszyscyśmy Bomby, a ty nie byłaś i nie będziesz Bombą.

Patrolujący po ulicy milicjant zbliżył się do protestującej ogniście pani Katarzyny.

— Durna babo, pijanico, nie hałasuj tędy, ruszaj do domu! powiedział.

Pani Katarzynie zdało się tej chwili, że to adwersarka przemawia do niej w ten sposób; rozbudzona fantazya poczęła jej płatać rozmaite figle, z przed jej oczu znikł nos adwersarki, natomiast w górę zadarty daszek francuzkiej czapki milicjanta, począł nieprzyjemnie wpływać na jej rozdrażnione nerwy. Indyk nie lubi czerwonego koloru, czerwony kolor rozdrażnia do wściekłości rozjuszonego bawoła, któż się tu teraz dziwić będzie, jeśli zadarty daszek, dla nieprzyzwyczajonej do takich daszków pani Katarzyny, stał się owym czerwonym kolorem.

— Ty, wiesz ty co? — mówi pani Katarzyna — ty mnie nie znasz, ale ja za to znam ciebie. Ty jesteś zawłoka, a ja Warszawianka, ja sobie poczciwa przekupka, a ty gałgan wielki; a to, co nosisz na łbie, to nieprzymierzając podobne do wiewiórczego ogona, zdejm to ze łba, bo ci z tem nieładnie.

Kończąc alokucję, wyciągnęła pani Katarzyna rękę, koniuszkiem palca potrąciła lekusieńko daszek milicjanckiej czapki, czapka podskoczyła do góry i spadła na ziemię.

Milicjant w pierwszej chwili zgłupiał na doznaną obelgę, podumał trochę, schylił się do ziemi, podjął czapkę, otrzepał z kurzu i włożył na głowę.

— Sobaka, a wiesz ty o tem, że to milicjancka czapka, powiedział, oraz podniósł rękę i kobietę silnie uderzył.

Przechodnie poczęli przystawać. Początkowo mała kupka ludzi okrążyła kołem oboje, z każdą chwilą koło poczynało wzrastać i coraz więcej przybywało ciekawych. Kiedy milicjant kobietę uderzył, wielu z patrzących krzyknęło z oburzenia; tu i owdzie słychać było głosy, karcące brutalskie obejście się sługi bezpieczeństwa z kobietą.

Otrzymany kułak wytrzeźwił nagle podchmieloną panią Katarzynę, przyszła do przeświadczenia tego, co to się z nią stało, uczuła najgłębiej zniewagę, jaka ją spotkała, zarazem zagotowała się krew w jej żyłach i gniew zabłysnął w jej oczach.

— Ty zawłoko! — zakrzykła — jak ty śmiesz mnie bić, mnie uczciwą kobietę, co wie o mnie cała Warszawa, żem ani flondra żadna, ani nie złodziejka, a masz ty rozbójniku sumienie, a wiesz ty o tem, że ja matka dziecku, a widzą oto wszyscy ludzie, czym ci co złego zrobiła.

— Stul gębę! — powiedział milicjant, i ręką pochwycił kobietę za barki, siląc się wyciągnąć ją z koła widzów, które do coraz większych wzrastało rozmiarów.

W jednej stronie koła poczęto się cisnąć, ktoś sobie gwałtem torował drogę pomiędzy widzami, docierając do kłębka, o który się owinęło zbiegowisko.

Dwóch milicjantów płazowało wokoło siebie szaszkami; chroniąc się od razów, ustępowali w bok ludzie; w ślad za milicjantami szedł wysoki, sztywny mężczyzna, rysy jego twarzy były ostre, długie, czarne bakenbardy, czyniły tę twarz dziwnie niemiłą.

— Cyrkułowy! — szeptali wokoło ludzie i uchylali się, więcej z obawy przed sztywnym, jak przed szaszkami milicjantów.

— Co to takiego! — krzyknął cyrkułowy nad uchem szamocącego się z panią Katarzyną milicjanta.

Ten podniósł głowę i popatrzył nad siebie, puścił zaraz z rąk kobietę i stanął w żołnierskiej postawie, wyciągnięty by struna.

— — Pijanica! zawalała mi czapkę — powiedział.

— Zawalała! do turmy ją weźcie — rozkazał cyrkułowy.

Milicjanci na rozkaz opadli kobietę. Jeden chwycił ją w pasie, jeden za głowę, a jeden za nogi, i podnieśli ją w górę.

Pani Katarzyna zawieszona w ten sposób między niebem a ziemią, czuła, że się z nią na coś złego zanosi; policja warszawska nie miała nigdy zbyt dobrej reputacyi u pos-

pólstwa; pani Katarzynie majaczyło po głowie: tylko się wyrwać z rąk tym djabłom.

Z ostatnią myślą wszystkich sił dobyła, wstrząsnęła sobą, rozrzuciła ręce i ściągnęła nogi. Milicjanci byli źle zaprawieni, bo nie dotrzymali łowu.

Pani Katarzyna z rąk im się wyrwawszy, upadła na ziemię, a czując ląd, zerwała się na równe nogi, przejrzała szybko plac bitwy i była wraz przygotowana do jej przyjęcia. Trudne było jej położenie: naprzeciw siebie miała trzech silnych jak niedźwiedzi milicyantów, nad milicyantami górowała czarna głowa cyrkułowego komisarza, z tej głowy wyzierały czarne, świecące się, myśliwskie oczy, kierujące przezornie obławą. Widać, była ona zrodzona do większych rzeczy, gdyż mimo rozpaczliwego położenia nie upadła na duchu. Podniosła głowę do góry, zakasała po łokcie rękawy szlafroczka i ręce oparła o biodra. Postawa jej była bardzo wyzywająca, malowały się w niej, życie, siła i determinacya.

Milicyanci wstydzili się własnej niezręczności, czuli oni, że im brak tego ognia, mógłbym o nich śmiało powiedzieć, że postulali gęby, karcące oko myśliwego spoczywało na nich, to oko wyraźnie mówiło: źleście trzymali, duraki.

— No bierzcie ją już raz, bierzcie — mówi po chwili cyrkułowy.

Milicyanci stali, każdy mierzył stronę, z której zachwyci. Najognistszy wysunął się naprzód, poskoczył szybko i pochwycił kobietę za ramię.

Głowę milicyanta trafiło kilka silnych razów; trzymał dobrze i nie puścił więcej; za przykładem pierwszego rzucił się drugi i wpół pochwycił kobietę; i ten trzymał dobrze, dostał kilka kontuzyj od nóg i ręki, ale nie puścił także; trzeci nie miał ognia, rzucił się, chwycił, dostał w twarz pięścią, uderzenie z nóg go zwaliło, upadł na ziemię jak długi, rozległ się łoskot jak od spadającego kloca i milicyancka czapka walała się w kurzu ulicy.

Między widzami było kilku takich, którzy w całej tej scenie widzieli rodzaj ulicznej komedyi, nie wzruszyła ich podobna scena, widzieli oni tylko jej komiczne strony; tym ciekawym gapiom podobał się upadek milicyanta, widzieli oni w nim tylko rodzaj pajacowskiego *intermezo*, pobudzającego do śmiechu; śmiali się głośno i dowcipkowali.

Scena cała poczęła się teraz ożywiać; walka kobiety z milicyantami poczęła nabierać dziwnej powagi, i stawała się coraz boleśniejszą dla widzów.

Oko czarnego cyrkułowego podniosło milicyanta z ziemi; stał chwilę zawstydzony swoją niezręcznością, popatrzył przed siebie i rzucił się na swoją ofiarę, z postanowieniem niepuszczenia jej więcej.

Kobieta szarpała konwulsyjnie sobą, dobywała sił ostatnich, by się wyrwać z rąk milicyantów; sześć rąk trzymało mocno i nie chciało puścić.

Kobieta nie straciła jeszcze nadziei, nadludziem wytężeniem wydobyła jedną rękę z niedźwiedzich objęć trójki i uderzyła tą ręką przed siebie.

Źle się poczęło teraz kręcić koło pani Katarzyny. Jeden milicyant zdarł jej chustkę z głowy, chwycił ją oburącz za włosy i przegiął jej głowę ku ziemi.

Kobieta rwała się jeszcze, ale już słabła widocznie.

Drugi milicyant puścił jedną ręką, podniósł w górę tę żylastą, niedźwiedzią łapę i spuścił z całą siłą na biedną kobietę.

Uderzenie było mocne, twarz pani Katarzyny krwią się zalała.

Kobiety z koła widzów, na widok krwi zalewającej szaty pani Katarzyny i spływającej na ziemię, krzyknęły z przerażenia. Mężczyźni poczerwienieli, tu i owdzie było słychać ciężkie westchnienie, gdzieniegdzie odezwała się półgłośna groźba, wszystkie piersi z oburzenia zadrżały, w tłumie spektatorów zawrzało jak w morzu, kiedy jego fale pomarszczy pierwszy powiew burzy.

Milicyanci poczęli wlec teraz zakrwawioną kobietę, krew kapała gęstemi kroplami na ziemię i zmoczyła ją krwawo; czasami kiedy gęściej bluznęła, padała im na ręce i szaty.

Tłum nie rozerwał raz zawiązanego koła; opasywało ono żywemi ramami wlekących zakrwawioną kobietę milicyantów, to się raz rozszerzało, to znów ściągało się cieśniej i cieśniej, i szmer panował głuchy, a czasem odzywały się podniesione głosy, a ruch przypominał gęste anakondy pierścienie, opasujące drgającą ofiarę.

Kobieta przyparła się nogami do ziemi i wstrzymała się w miejscu. Była ona już przytomną zupełnie, pojmowała jasno co to się z nią dzieje, wielki ból ścisnął jej serce, pomyślała sobie o domie, o mężu Mikołaju, o dziecku; co to się stanie, skoro ją do turmy zabiorą i zamkną za kratą; jak oni sobie w domu bez niej rady dadzą, bez niej, co była żywicielką i męża i dziecka.

— Mój Boże, mój Boże! o ja nieszczęśliwa! — wyjęknęła głośno i głośnym płaczem wybuchła.

— Nie stawaj i nie krzycz babo! — krzyknął cyrkułowy i wraz potrącił przypierającą się na miejscu.

Kobiecie wszystka krew popłynęła do serca i w sercu zastygła. Kopią mnie jak psa nędznego — pomyślała sobie, oraz zaćmiło się jej w oczach, poczęły jej się jakieś mary snuć po głowie, widziała siebie na katafalku leżącą, a milicyanty kopali nogami jej ciało, zdala widziała stojącego męża, oddanego nędzy na pastwę, tulącego do piersi zawodzące, jedyne jej dziecię. Czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwą, czuła w sercu, że nie przeniesie na sobie takiego nieszczęścia.

— Ratujcie, ratujcie mnie ludzie! o ja najbiedniejsza matka! — zawołała w najwyższej rozpaczy i wraz przechyliła się ciałem ku ziemi i upadła na nią jak długa, z rozrzuconym włosem, z podartemi szatami, łzami i krwią oblana.

— Nie przeniosę tego na sobie, bym się próżno patrzał na ludzkie nieszczęście! — krzyknął w tłumie kowal Jędrzej i w górę wyciągnął zaciśnięte dwie pięście i stał tak w groźnej postawie i ręce mu konwulsyjnie drgały, i gotów się był każdej chwili rzucić na ostre szaszki milicyantów; jego serce tlało w wielkim gniewie, tylko małej iskierki, tylko słówka, tylko skinienia znaczącej ręki było potrzeba, a gniew jego byłby wybuchnął w pioruny.....

— O poczekajcie! — krzyknął szewc Bartek, i pogwizdywał sobie i patrzał ostro na całą scenę.

— Zabili ją, całkiem zabili, jak się z niej krew leje! — wrzeszczała omęczona krupiarka, i wskazywała na krew czerwoną, ścinającą się czarno na twarzy pani Katarzyny i pchała się naprzód i roztrącała silnemi rękami tłum torujący jej drogę.

Młodziutki, bezwąsy chłopaczek; półdziecko, studencik widać, otarł łzę z jasnego oka, wysunął się naprzód, wyciągnął się, wypiął piersi i stanął naprzeciw cyrkułowego, jedną ręką pokazał na skrwawione ciało omdlałej kobiety, drugą podniósł w górę.

Cyrkułowy pobladł, podniósł głowę do góry, w oczach jego błysnął dziwny ogień, patrzał i patrzał i nie spuszczał oczu. Jakaś siła tajemnicza podtrzymywała jego powagę i wzrok jego stawał się coraz pewniejszy.

— Weźcie no ją na ręce — powiedział z przyciskiem.

— Ratujcie ją, ratujcie! — krzykło kilka głosów.

— Naprzód! — krzyknął młodziutki studencik i jeszcze więcej wysunął się naprzód.

— Stójcie! na rany Chrystusa stójcie; ani krokiem naprzód! — odezwał się ze środka głos grzmiący.

Tłum się wstrzymał. Na ramionach dwóch barczystych mężczyzn wspiął się w górę wysoki blady mężczyzna. Włos jasny spływał mu na ramiona w bezładzie, wysokie jego czoło było schmurzone, zaciśnięte jego usta drgały, jakiś ogień czysty świecił w jego oczach.

Zdala było słychać zbliżający się łupot głuchy i urywany głos żołnierskiego bębna. Mężczyzna zwrócił głowę w stronę zkąd było słychać bębnienie, w jego twarzy malowała się trwoga widoczna, wyciągnął rękę i wskazał koniec ulicy, i tam w mgle kurzu błysnęły ostre bagnety i posuwały się miarowym krokiem ściśnięte roty wojskowe.

— Jeszcze raz wam mówię, na rany Chrystusa ludzie, ani krokiem naprzód! o tam, tam, widzicie bagnety! zakrzyczał.

Tłum spojrzał w wskazaną stronę i zaoczył bagnety i zasłyszał urywany głos bębna, wielu pobladło, ale nikt nie drżał w tym tłumie, była to bladość naprężonego wyczekiwania tego co przyjdzie.

— Owa! Wielkie mi rzeczy żołnierze i flinty — mówił niezastygły w gniewie kowal Jędrzej.

— Nie słuchajcie ludzie! za łeb milicjantów, zamordowali kobietę! — wołał ognisty studencik.

— Na milicjantów nim nadejdą roty! — zakrzyczano w tłumie.

— Stać! stać! niech mi się nikt nie ruszy! — zawołał teraz mężczyzna, a to głosem takim dobitnym i pełnym powagi, że dźwięczał by wydana komenda i mimowoli usłuchano go w tłumie.

— Owa! jaki mi! — krzyknął niecierpliwie kowal — co będzie to będzie, a rozkazywać nikt nam nie ma prawa.

— Milcz człowieku! ja rozkazuję i mam prawo do tego — powiedział ten, który lud od gwałtownego wybuchu powstrzymał.

— Stać chłopcy na miejscu i słuchać co nam ten pan każe — mówiło sto ludzi i wskazywało na długowłosego mężczyznę.

— W imieniu dobra waszego wzywam was, byście się natychmiast rozeszli do domów — powiedział on zrozumiale i głośno.

Natychmiast do domu — powtórzyły głosy za nim i tłum się rozstąpił i rozpłynął się w różnych kierunkach. Po małej chwili zrobiło się pusto w ulicy, tylko omdlała pani Katarzyna leżała w krwi własnej na ziemi, a nad nią stał cyrkułowy i trzech milicyantów.

Cyrkułowy patrzał zamyślony przed siebie, widać dumał nad rozwiązaniem jakiejś wielkiej zagadki, zbudził go z dumania głos bębna, tuż do niego przyciągnęły roty w ordynku i wstrzymały się w miejscu. Żołnierze patrzyli ciekawie przed siebie, prócz grupy milicyantów nad ciałem kobiety, nie widzieli nikogo.

II.

Kiedy pani Katarzyna odzyskała przytomność i otworzyła oczy, ujrzała się przeniesioną do długiej, zakratowanej kaźni w towarzystwo zakutych w kajdanki wszetecznic i złodziejek. Leżała na twardym tapczanie, szaty były poszarpane na niej, ciało jej było poranione, a na ranach zastygała krew czarna; trawiła ją wielka gorączka, usta jej były rozpalone, pulsa biły gwałtownie jakby jej chciały czoło rozsadzić.

— Wody, wody! — mdlejącym zawołała głosem. Przybliżyła się obszarpana kobieta o wychudłych licach i zapadłych oczach, trzymała w rękach brudny gliniany dzbanek, przechyliła go jej do ust lejąc w nie wodę przegniłą, cuchnącą.

— Gdzie ja jestem? — spytała pani Katarzyna.

— W areszcie — była odpowiedź.

— Za co oni mnie tu przywlekli?

— Strąciłaś ze łba milicyantowi czapkę.

— Co oni ze mną zrobią?

— Potrzymają ze cztery tygodnie, obiją rózgami i puszczą potem do domu.

— O ja najnieszczęśliwsza — zawodziła ciężko pani Katarzyna — — co się to stanie ze mną, w co się mąż i dziecko obrócą! Łzy jej jak groch kapały po licach, przyłożyła ręce do serca i cisnęła to serce, co się tak rwało, jakby jej pierś chciało rozszarpać. Pani Katarzyna podniosła się, siadła na tapczanie, załamała ręce i siedziała tak, i szklanne jej oczy nie widziały choć patrzyły przed siebie, myśl jej była pogrążona jakby w ciężkim obłędzie, tylko w niej żyło serce, to serce co w piersiach człowieka nigdy zasypiać nie umie.

Przyszły na panią Katarzynę dnie ciężkie. Poczęto ją brać do indagacyi. Gruby, opasły pisarz o wypukłych oczach i nabrzmiałych od rumu policzkach ciągnął z niej protokół po protokóle. Rzecz się zawsze i zawsze o czapkę kręciła i zawsze powtarzał urzędnik:

— *Zamariałaś czapkę* — i przekładał najrozmaiciej tę małą peryodę i temu przekładaniu zda się nie będzie już końca.

— No zawalałam czapkę — mówi zrozpaczona pani Katarzyna.

— *Zamariałaś* — wygłasza urzędnik — *no ty zamariała* — powtarza raz jeszcze i podnosi się z krzesła... Pani Katarzyna ani nie zajękła nawet, ani najmniejszem westchnieniem nie zdradziła tego bólu wielkiego, co jej duszę przepalał.

— No zawalałam czapkę — powtarza.

— *Zamariała* — wygłasza znowu pisarz.

Pani Katarzyna miesiąc cały wytrwała w takiej indagacyi, a długi był ten miesiąc i ciężki i mógłby za pół życia był stanąć, tyle w nim łez przepłakała, tyle w nim przeżyła boleści.

Jakoś z końcem tego miesiąca przyszedł po nią kazienny dozorca i zaprowadził do bióra spasłego pisarza.

W tym dniu nie klął ją pisarz, wziął spisany papier do ręki i pisał jeszcze długo po tym papierze i raz jeszcze powiedział:

— Czapkę milicjanta ty zamariała — i po tem powiedzeniu przeczytał jej wyrok, a ten wyrok mówił w długich perjodach, że ją wysoki i łaskawy sąd za zamarianie milicjanckiej czapki na cielesną chłostę skazuje.

Wzięto panią Katarzynę na dziedziniec kazienny. Stanęło nad nią kilku ludzi, a kilku innych rzuciło ją na długą ławkę drewnianą i bito rózgami. Pani Katarzyna nie jękła i nie zbierało jej się na mdłości, zacisnęła usta, ból wielki zagryzła i przetrzymała srogą chłostę. Kiedy ją z rąk puścili podniosła się o własnych siłach z ławki, a kiedy jej nad uchem: precz do domu! zakrzyczał urzędnik, w jej oczach zaświeciły łzy jasne, łzy cichej radości.

Kiedy pani Katarzyna wyszła na wolność, już biała zima zalegała ulice Warszawy, śnieg padał wielkiemi płatami i zasypywał ziemię. Ona nie widziała śniegu, nie czuła go pod bosemi nogami, nie czuła zimna, szła prosto na Pragę do małego domku, który nie widziała tak długo, i w którym mąż i dziecko po niej tęsknili.

Przyszedłszy przed domek stanęła przed progiem i bała się ten próg przestąpić i zdało jej się, że była ciężką zbrodniarką i że była sama winna swojemu nieszczęściu.

Po małej chwili zdobyła się na wielką odwagę, przestąpiła próg, drżącą ręką potrąciła drzwi, prowadzące w izdebkę, stanęła przy drzwiach, łzy gęste jak groch z ócz jej kapały, przecierała z łez oczy i patrzyła długo przed siebie.

Na łóżku, na brudnej pościeli leżało małe jej chłopię z rozpaloną od gorączki twarzą, z obwiązaną głową i to chłopię ujrzawszy w drzwiach matkę, zakryło sobie rękami oczy i zapłakało serdecznie. Przy stole z opartą na ramieniu głową, siedział jej mąż zadumany i nędza mu z ócz patrzała i z wyschłego lica. Na skrzypnięcie drzwi odwrócił głowę i ujrzał żonę, i nie mógł własnym oczom uwierzyć, tak ten powrót był niespodziewany i dziwny, i nie mógł poznać żony, tak jeden krótki miesiąc odmienił ją bardzo. Z lic jej znikła dawna czerwoność, lica powiędły i zżółkły, czołu i ustom jej zmarszczek przybyło, włosom przybyło siwizny, opadła z ciała i twarz jej grube wypychały kości, i nie była to ta sama, dawniej tak wesoła i żywa kobieta, jej swoboda została na tapczanie kaziennym....

Przywitanie żony z mężem a matki z dzieckiem, było czułe wielce i wiele łez kosztowało.

Po przywitaniu poczęła pani Katarzyna pytać:

— A co Wojtusiowi, Mikołajku?

— Słabe dziecko już od czterech niedziel, w kilka dni po niedzieli kiedy ciebie zabrali, rozchorzał, tęsknił i tęsknił za tobą i nie mogłem go utulić w żałości; pytał mnie ciągle: gdzie matka i kiedy wróci do domu?

— O biedne ty moje kochanie! — mówi pani Katarzyna ze łzami i przyciska dziecko do piersi.

— Jacy wy bladzi matusiu! czyście wy byli w szpitalu? — mówi chłopię i patrzy zdziwione na znędznioną matkę.

— W szpitalu byłam, dziecko! — mówi matka i wzdycha.

— A gdzie Franka? — pyta pani Katarzyna.

— U dzieciątka Jezus — mówi pan Mikołaj — wieczorem jak przyleciała krupiarka z za żelaznej bramy i opowiedziała co się z tobą stało, wypłakała się bardzo, na drugi dzień już nie wstała z łóżka, dostała zgniłej gorączki, byłem u niej przedwczoraj, mówił starszy, że ciężko wyjdzie z choroby.

Pani Katarzyna zadumała się.

— Jak tu pusto teraz w izbie — mówi dalej — Mikołaju dokądeś ty powynosił rzeczy?

— A na Franciszkańskie, pozastawiałem u Icka.

— Bój się Boga człowieku, co przyszło na ciebie? przeciem zostawiła z górą dwieście złotych w domu, gdzie się te wszystkie pieniądze podziały?

— Ba, ja ich nie przepiłem, chodziłem za tobą i chciałem ciebie wyprosić, każdemu daj, każdy rękę nadstawia, pieniądz nie woda to się przebierze. Chciałem, aby mnie raz puścili do ciebie do kaźni, dałem jednemu sto złotych, obiecał, że puści, kiedy przyszło na to, trącił mnie pięścią i wyrzucił za drzwi; do ciebie nie puścił.

— Oj, wielkaż moja bieda, a ty biedna moja głowo! co my poczniemy — lamentowała pani Katarzyna.

— Ot, nie lamentuj Kasiu — mówi pan Mikołaj i całuje żonę w głowę — chwała Bogu, żeś tu znowu w domu, jakoś to będzie przy tobie.

Pani Katarzyna wstała, oglądnęła raz jeszcze izbę, wszędzie było brudno i nędznie, czuć tu było brak kobiecej ręki, co się do wszystkiego przyłoży.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadkowe drzwi

Tłomaczyła z angielskiego P. Otrys.

Stał on przy łóżku i patrzał ciągle na twarz zmarłej, potem cofnął się o kilka kroków, jak gdyby chciał zbadać woń, unoszącą się w pokoju. Nareszcie zbliżył się szybko znowu do łóżka, przechylił głowę, odrzucił poduszkę, i zaraz też wyciągnął z pomiędzy fałd prześcieradła gębkę, którą przyłożył do nosa. Twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie.

— Powąchaj pan, — rzekł do policyanta, podając mu gębkę. — Domyślałem się, że w blizkości łóżka musi być chloroform.

Po tych słowach zapanowała w pokoju długa i przykra cisza. Policyant czuł, że zimno przejmuje wszystkie jego członki — popełniono tu zbrodnią na biednej, bezbronnej kobiecie — Ale kto był winowajcą?

Lekarz pochylił się raz jeszcze nad trupem — podniósł nawpół zamknięte powieki, obejrzał zgasłe oczy i rzekł:

— Ja nie mam teraz nic już do czynienia! Gębkę zabiorę z sobą. Wszakże widziałeś pan, zkąd ją wydobyłem?

— Tak jest!

— Gębka ta bardzo jest ważnym przedmiotem. Ponieważ zapach chloroformu jeszcze się z niej nie ulotnił, przeto długo nie mogła się pod poduszką znajdować. Zdaje mi się, że powinieneś pan teraz pokój zamknąć i powiedzieć wszystko inspektorowi policyi.

— Prosiłem już panny Rodney, aby przysłała tu drugiego policyanta, jeżeliby jakiego spotkała. Czy pan sądzisz, że chloroform jest powodem śmierci pani Davorn?

— Zobaczymy, zobaczymy, — zawołał doktor prędko. — Gdyby inspektor policyi chciał się ze mną widzieć, to proszę mu powiedzieć, że jestem w domu do jedenastej przed południem i od drugiej do czwartej po południu. Przez resztę dnia muszę odwiedzać moich pacyentów. Żegnam pana.

Metcalf odprowadził doktora do sieni, w której skulona na małej ławce, siedziała Alicya, płacząc głośno.

— Droga panno Alicyo, — rzekł lekarz serdecznie, — uspokój się! Nie trać odwagi, Bóg cię nie opuści.

— O Boże, — łkała biedna dziewczyna, — więc to prawda? Ciotka — nie żyje?

— Niestety, tak jest! Ale nie płacz, moje dziecię, łzy nic ci nie pomogą! Jeżeli będę miał czas, wstąpię tu o jedenastej, w najgorszym razie przyjdę napewno po południu! Uspokój się i znieś odważnie cios, jaki cię spotkał!

Dziewczę otarło oczy i spojrzało z wdzięcznością na doktora.

— Trzeba przedewszystkiem zbadać, co się tu ostatniej nocy „działo“, myślał tymczasem Metcalf. — Chciałbym wiedzieć, czy panna Rodney spotkała którego z moich kolegów...

Z tem wszystkiem nie pragnął on wcale, aby inny policyant lub inspektor przyszedł teraz i przeszkodził mu w jego poszukiwaniach. Nie tracąc więc ani chwili czasu, zabrał się znowu do dzieła, chcąc o ile możności zrobić jakie ważne odkrycie. Nietylko, że sprawa ta bardzo go zajęła, ale nadto był on ambitnym i poznał, że nadaje mu się wyborna sposobność okazania swej zręczności i zwrócenia na siebie uwagi przełożonych. Przytem mógł jeszcze liczyć na gratyfikacyą lub na wyższą jaką posadę.

Gdy wszedł znowu na górę, zastał Steinwortha opartego o drzwi jego pokoju i palącego spokojnie papierosa:

— Czy pani Davorn rzeczywiście — nie żyje? — zapytał Steinworth.

— Umarła — nie podlega to żadnej wątpliwości, — odrzekł Metcalf. — Byłem o tem przekonanym w pierwszej chwili, gdy wchodziłem do jej sypialni. Na zegarze wybiła właśnie wtedy szósta — a wskazując na przeciwległe drzwi, dodał : — nic tam nie słychać?

— Nie, nic!

— Pan Vickery powinien być już ubranym, może czeka tylko na to, abym mu drzwi otworzył!

Mówiąc to, zapukał lekko.

— Proszę, — zawołał Vickery gniewnie.

Policyant przekręcił klucz, nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Vickery był istotnie już ubrany.

— Wiesz pan, — rzekł Metcalf, — że tej nocy albo przynajmniej nad ranem, zamknięto cię tutaj?

Zaczerwienione oczy Vickerego błysnęły dziwnie.

— Zamknięty — w moim pokoju? Nie rozumiem, co to ma znaczyć!

— Dziś rano zastałem tak pana jak i pana Steinwortha uwięzionych — klucze były przekręcone, a więc byliście obydwaj zamknięci — na zewnątrz!

— To dziwne, bardzo dziwne, — zawołał Vickery z nieudanem zdziwieniem. — Wyznaję, że nie troszczyłem się nigdy o zamek moich drzwi, tak samo, jak nigdy prawie nie zasuwałem rygla na wewnątrz. Wracam zwykle późno do domu i nie wiem, poco miałbym się zamykać. Ale kto u licha mógł to uczynić? Dlaczego? W jakim celu?

— Mnie pan o to nie pytaj! Teraz jednak chciałbym pomówić kilka słów z panną Rodney, a panowie co zamierzacie w tym czasie? Bo chociaż mi bardzo przykro... ale nie mogę wam pozwolić na wyjście z domu, zanim nie otrzymam stosownych rozkazów od moich przełożonych!

— Więc nie mogę doprawdy wyjechać? — zapytał Steinworth.

— Pod żadnym warunkiem! Zresztą pociąg pewnie już odszedł!

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak poddać się konieczności. Nie jest mi to wcale przyjemnem!

Steinworth zdjął cylinder i gładził go starannie rękawem surduta.

— Musisz pan przecież uznać sam, że nie wolno mi postępować inaczej, — odrzekł policyant. — Każdy, kto się znajduje w tym domu, może być każdej chwili badanym, aby się chociaż trochę ta ciemna sprawa wyjaśniła. Ale zdaje mi się, że słyszę na dole głos jednego z moich kolegów — poproszę go tutaj na górę, a sam pójdę do panny Rodney.

Steinworth kiwnął głową i zajął się znowu swoim cylindrem. Ale gdy Metcalf zbliżył się do schodów, pobiegł Steinworth za nim i szepnął:

— Mógłbym z panem pomówić bez świadków?

— Owszem, proszę tylko pamiętać o tem, że jestem tutaj w charakterze urzędnika policyi!

— Jest to uwaga zupełnie zbyteczna!

— Gdy obydwaj zeszli na dół, pochylił się Steinworth do ucha policyanta i rzekł przytłumionym głosem:

— Co mówi doktor o tej dziwnej sprawie?

— O pani Davorn? — zapytał Metcalf.

— Tak, co sądzi o jej śmierci?

— Tego nie mogę panu powiedzieć dokładnie, bo doktor Percival nie wyrzekł nic stanowczego. Myślę, że podziela on moje zdanie, to jest, że chloroform.....

— Jakto, chloroform? Co pan mówisz?

— Że zabito panią Davorn chloroformem!

— Ale — nie możesz pan — twierdzić tego — na seryo! Czyżby nie miała pomimo wszelkich podejrzeń, umrzeć śmiercią naturalną?

Twarz Steinwortha pokryła się śmiertelną bladością.

— Nie! Obawiam się, że popełniono tu morderstwo!

— Boże Wielki! — zawołał Steinworth, drżąc gwałtownie, — któżby mógł zamordować tę łagodną, dobrą kobietę! Dlaczego?

— Nie wiem! — odrzekł policyant krótko, żałując w duszy swej poprzedniej nieostrożności.

— W takim razie prawdziwe dla mnie szczęście, że zamknięty byłem w moim pokoju! I nie możesz pan przewidzieć, jak się to wszystko skończy?

— Hej, kolego Jung, — zawołał teraz Metcalf, nie zważając na słowa Steinwortha.

— Co tam? — odpowiedział drugi policyant, wychodząc z głębi sieni.

— Idź na górę do tych obydwóch panów, ja zaś udam się do panny Rodney. Ale czemu nie przybyłeś prędzej?

— Nie mogłem. Sądząc z tego, czego się dowiedziałem od panny..... jakże się nazywa..... ah, Rodney, uważałem, że lepiej zameldować wszystko natychmiast inspektorowi Briges, który też tu zaraz przyjdzie. Spotkał on doktora Percivala na ulicy i zatrzymał go na chwilę, ja zaś pobiegłem naprzód.

ROŻDZIAŁ CZWARTY.

Tymczasem było już wpół do ósmej.

Mgły poranne ustąpiły, słońce świeciło jasno i przezroczyste powietrze zapowiadało pogodny i ciepły dzień jesienny.

W pokoju parterowym, którego okna wychodziły na ulicę, siedziała młoda dziewczyna. Ręce oparła na małym stoliku i ukrywała w nich zapłakaną twarzyczkę.

Alicya Rodney była siostrzenicą i jedyną żyjącą krewną kobiety, która tam, w małym pokoiku od strony podwórza leżała na łóżku martwa i zimna. Alicya miała lat dwadzieścia i dwa, matka jej umarła przed dziesięciu laty, a ojciec, wyższy urzędnik, posiadający znaczne dochody, żył swobodnie i wesoło z dnia na dzień, nie myśląc wcale o przyszłości córki. Inny byłby spory ułożył majątek, ale John Rodney mógł ledwie pieniędzmi wystarczyć, i gdy nagle, w kwiecie wieku, umarł, zostawił szesnastoletnią swoją córkę w największej nędzy. Po śmierci jego bowiem okazało się, że były jeszcze rozmaite długi, na których spłacenie trzeba było sprzedać wszystkie meble i dom — i tak nie miała Alicya żadnego przytułku.

Pani Davorn, jedyna jego siostra, wzięła wtedy biedną sierotę do siebie. Zostawszy wcześnie wdową, założyła ona w najwybitniejszej części Londynu skład strojów damskich, a gdy nareszcie zdrowie zaczęło jej niedopisywać, i gdy się przekonała, że dosyć już zebrała pieniędzy, aby żyć wraz z siostrzenicą wygodnie z procentów, sprzedała korzystnie swój skład i kupiła mały domek na spokojnej i cichej ulicy Felspart. Pokochała ona szczerze Alicyę i postanowiła zapisać jej cały swój majątek.

Za radą jednego z swoich znajomych, złożyła majątek ten, około 150,000 marek, w pewnym banku, dającym wysokie procenta, i żyła szczęśliwa i zadowolona, otaczając Alicyę najserdeczniejszą, prawdziwie macierzyńską miłością. Ale szczęście to nie trwało długo. Ledwie rok minął, zbankrutował bankier, i majątek jej zmniejszył się o połowę. Pani Davorn była w rozpaczy. Na założenie nowego składu nie miała już sił, a procenta nie wystarczały na życie — po długich więc namysłach postanowiła zatrzymać dom, i wydzierżawić dwa górne pokoje. Lokatorowie znaleźli się też zaraz — byli nimi Steinworth i Vickery, ale chociaż zgodzili się na wszelkie warunki, to jednak pani Davorn poznała, że wynajęcie pokoji nie było tak korzystnem, jak to z początku sądziła.

Nieszczęście, jak wiadomo, zawsze idzie w parze, to też nowy cios spadł wkrótce na biedną kobietę. Dowiedziała się ona od znajomych, że i ten bank, w którym złożyła ocalony swój majątek, niezupełnie był pewnym, nie namyślając się więc ani chwili, i nie badając, czy pogłoski te są uzasadnione, pospieszyła czemprędzej do bankiera i odebrała wszystkie pieniądze.

Działo się to dnia dziesiątego października.

Przed rokiem mniej więcej poznała Alicya na jakiejś zabawie pewnego młodego lekarza, który wówczas był asystentem u doktora Percivala. Maurycy Evans, przystojny człowiek o pięknej, bladej twarzy, ciemnych włosach i ognistych, czarnych oczach, zdobył sobie od razu serce dziewczęcia. Po ojcu, który pochodził z Francyi, odziedziczył Maurycy wytworne ruchy i maniery arystokraty, po matce Irlandce zaś gwałtowny i namiętny charakter. Alicya podobała mu się niezmiernie, a że nie widział żadnej przeszkody w połączeniu się z ukochaną, która wówczas uchodziła za majętną pannę, przeto nie czekał długo, i przy najbliższej sposobności wyznał jej swoją gorącą miłość.

Alicya jednak nie była przygotowaną na tak prędkie spełnienie się jej marzeń i w pierwszej chwili nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. „Tak — nie“, szeptała zmieszana, aż w końcu błysnęła jej myśl zbawienna. „Zapytaj pan ciotki“, zawołała, i wybiegła z pokoju.

Ale pani Davorn nie była wcale zachwyconą prośbą Maurycego. Nie miała ona dla niego żadnej sympatyi — gwałtowne usposobienie młodego doktora przerażało ją, a chociaż znała uczucia siostrzenicy, to jednak była przekonaną, że małżeństwo z tym „niespokojnym szalonym Francuzem“ nie przyniosłoby Alicyi takiego szczęścia, jakiego dla niej pragnęła.

Nie chcąc przecież ranić zbyt boleśnie serca dziewczęcia, przyjęła prośbę Maurycego warunkowo, to jest przyrzekła mu stanowczą odpowiedź za pół roku. Na żadne ustępstwa zgodzić się nie chciała. Maurycy błagał, groził, rozpaczał — wszystko daremnie — pani Davorn pozostała niewzruszoną.

Opór ciotki nie zmniejszył wcale miłości Maurycego i Alicyi, przeciwnie nawet — czuli oni oboje, że bez siebie żyć nie mogą i z upragnieniem oczekiwali końca wyznaczonego terminu.

Kilka tygodni przed śmiercią pani Davorn znalazł się Maurycy w bardzo przykrem położeniu finansowem. Pogniewał się z doktorem Percivalem, opuścił go, i osiedlił się jako samodzielny lekarz na przedmieściu Clayfeld, ale praktyki nie miał żadnej. O jego stosunkach pieniężnych krążyły rozmaite niekorzystne pogłoski i doszły do uszu pani Davorn, która nie mogła ukryć swej radości, gdy się o tem dowiedziała.

— Podziękuj mi za moją ostrożność, — mówiła do Alicyi, — Gdybym była pozwoliła na wasz związek, byłabyś teraz poznała, co to jest bieda i troska o kawałek chleba!

Ale młoda dziewczyna oświadczyła ciotce stanowczo, że właśnie w nieszczęściu nie może opuszczać ukochanego, i że nie myśli wracać mu słowa. Chociażby go wszyscy potępili to ona zostanie jego żoną i woli z nim umrzeć z głodu, niż żyć w dostatkach bez niego!

Pani Davorn była w rozpaczy, i Bóg wie, na czem byłoby się wszystko skończyło, gdyby uczciwe postępowanie Maurycego nie było przyszło jej w pomoc! Nie uniewiniając się wcale, wyznał on otwarcie, że położenie jego majątkowe jest tak liche, że obecnie o ożenieniu się marzyć nie może, a że nie chce Alicyi zawięzywać przyszłości i narażać ją na długoletnie może czekanie, przeto wraca jej słowo i wyjeżdża do brata do Ameryki.

Alicya gorzkiemi zalała się łzami i zdawała się być bliską zemdlenia. A gdy Maurycy spojrzał na jej bladą, zrozpaczoną twarzyczkę, gdy ujrzał błagalnie wyciągnięte ręce, wtedy zapomniał o wszystkiem, i rzucając się przed nią na kolana, prosił i zaklinał na Boga, aby zezwoliła na ślub natychmiastowy i uciekła z nim razem do Ameryki! Młoda dziewczyna, nawpół przytomna, zgodziła się na to, ale później, gdy sobie rozważyła następstwa tego nierozważnego kroku, zaczęła żałować danego przyrzeczenia. I chcąc o ile możności naprawić złe, opowiedziała wszystko ciotce.

Można sobie łatwo wyobrazić gniew i uniesienie pani Davorn, tem więcej, że Maurycy doniósł zaraz nazajutrz, że przygotował wszystko do ślubu. Łagodna i poczciwa zawsze kobieta, nie posiadała się z oburzenia na niegodziwość doktora i przysięgła, że Alicya nie otrzyma ani grosza z jej pieniędzy, jeżeli zostanie żoną tego łotra!

— On ciebie nie kocha, — krzyczała, tracąc wszelkie panowanie nad sobą, — on tylko chce mego majątku! Myślałam, że to człowiek uczciwy i kto wie, może byłabym pozwoliła na wasze małżeństwo, ale teraz nie pozwolę, za nic w świecie! Wolałabym pieniądze wrzucić do wody, niż dać mu jeden fenyg! Oh łotr, gałgan! Namawiać ciebie do tajemnego ślubu i do ucieczki! I ty nie poznałaś jeszcze jego czarnego charakteru?

Alicya płakała i — napisała do Maurycego, że nazajutrz weźmie z nim ślub.

Było to dnia 9-go października — wieczorem.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

— Ciotka nie ma słuszności, — myślała Alicya, gdy po kolacyi poszła do swego pokoju. — Kocham Maurycego nad wszystko w świecie i wierzę w jego szlachetność. Ciotka wyrządza mu wielką krzywdę!

Północ minęła, i Alicya usnęła nareszcie, a pierwszym szelestem, jaki ją nazajutrz rano obudził, było gwałtowne dzwonienie Metcalfa!

I siedząc teraz w saloniku, przechodziła myślą ostatnią rozmowę z ciotką, której nigdy już ujrzeć nie miała, a głęboka rozpacz przepełniała jej duszę.

Policyant zapukał do drzwi.

— Proszę, — szepnęło dziewczę drżącemi ustami.

— Wybacz pani, — zaczął Metcalf uprzejmie, zbliżając się do niej, — jeżeli ci przeszkadzam. Ale muszę prosić o odpowiedź na kilka pytań!

Metcalf postanowił zapisać jak najwięcej stron w swoim notesie przed przybyciem inspektora, któremu musiał sprawę tę oddać.

Na widok policyanta uspokoiła się Alicya cokolwiek.

— Bądź pan pewien, — odrzekła, — że odpowiem na wszystkie pytania, jakie mi stawisz. Dziś rano, gdy otwierałam panu drzwi, byłam okropnie przerażoną, ale teraz nie lękam się już tak bardzo...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tułacz polski.

Gdzieś w puszczy w źródła wód ubogiej,
Gdzie błądzą karawany,
Wpośród zawianej piaskiem drogi,
Z Ojczyzny swej wygnany
Bohater polski niesie krok,
A serce rwie mu uczuć tłok.

Słońce nań rzuca bez wytchnienia
Południa żar gorący,
Paląc całunkiem swym z płomienia
Miecz z boku mu wiszący;
Czy chce potokiem ognia fal
Zażedz do zemsty dzielną stal?

Ku ziemi ciało się pochyla,
Znękane w utrudzeniu;
Gdybyż spoczynku jedna chwila
Choćby w swym własnym cieniu!
Gdybyż w pragnieniu znaleźć kres
Choć w wyschłem źródle własnych łez!

Lecz duch mękami ciała gardzi,
O bitwach śniąc w tej chwili,
I w głębiach swych bolejąc bardziej,
Więc iść się dalej sili.
Kościuszko! — krzyknie czasem głos,
Szląc błyskiem miecza Moskwie cios.

Gdy wieczór chłodny cień rozrzuci,
On wśród oazy stoi,
Zdrój mu litośną piosnkę nuci,
Słodkim go dźwiękiem poi
A drżąca trawka szepce mu:
O spocznij, biedny, spocznij tu!

Upada senny. Obce drzewa
U jego gwarzą głowy;
I wiatr go falą snu owiewa
I słyszy marsz bojowy,
To znowu w szumie wód i drzew
Słyszy zwycięztwa wielki śpiew.

Oto księżyca wschód zapala
Niebiosa już pustyni;
Tam jasne szable błyszczą zdala.
To jadą Beduiny;
Jedyne światło w puszczach tych,
Blaski księżyca wiodą ich.

Rumaków orszak wiatronogi
Już zbliża się rozgłośnie,
Co utrudzone z długiej drogi
Do źródła rżą radośnie.
Okrzyki jeźdźców słychać wciąż,
Lecz się nie budzi śpiący mąż.

Oni już rzeźwi i weseli
U źródła poją konie,
Lecz nagle stają, bo ujrzeli
Błyszczący miecz na stronie.
W chłodnem księżyca świetle lśni
Twarz blada tego, co tam śni.

Aby nie zmącić snu przybysza,
Siadają milczkiem w kole;
Pierś im zalewa wielka cisza
Na widok blizn na czole,
Co jako krwawych nieszczęść wieść
W pustyni synach budzą cześć.

Ku uśpionemu Arab stary
Krokami mknie cichemi,
Rzeźwiący napój wlał do czary
I wpośród traw na ziemi
Z najlepszą z potraw, którą sam
Wybrał dla niego, składa tam.

Na miejsce swoje potem wraca
I długo orszak cały
Na nieszczęsnego oczy zwraca,
Choć zbiega czas niemały,
Nim się obudzi ten, co kraj,
Co ojców swoich stracił raj.

Wtenczas witają go w gościnie,
Nucąc ku jego cześci
Bojowy śpiew, co przez pustynię
Lecąc, jak wichr szeleści,
Bo dzika zemsta, płomień, krew,
To śpiew ich ojców, to ich śpiew.

Bohater chwyta miecz do ręki,
Snem jeszcze rozmarzony,
Stoi na polu Ostrołęki,
Szląc ciosy w wszystkie strony;
Burzliwa pierś mu pali skroń,
Nieprzyjaciela szuka dłoń.

Lecz gdy popatrzy, słucha pilnie,
Poznaje obce tony,
Arabji synów wziętych mylnie
Za swoich wojsk legjony.
W księżyca blasku, w nocy mgłach
Na ziemię pada w gorzkich łzach.

Przekład Maryi Bartusówncj z niemieckiego tekstu Mikołaja Lenaw'a.

Motyl.

Ucieszna i ciekawa historya z nocy świętojańskiej.

Było to już tak dawno, że tego nikt nie pamięta.

Nawet najstarsza z nianiek słyszała o tem od swojej piastunki, tylko jako o bajce, której można wierzyć i nie wierzyć, jak kto chce.

Co do tego zaś, aby ta cała historya była ongi przez jakąś wróżkę spisana na listkach jaśminu żądełkiem trzydniowej pszczoły i przechowaną w pewnym głuchym lesie, pod pewnym kamieniem, o którym będzie niżej — także nie prawda.

Od stworzenia świata ludzie lubili przesadzać we wszystkiem.

Czy zaś w istocie żył kiedy ów Fantazyusz, bohater tej uciesznej i ciekawej historyi, przysiądzbym nie mógł, ale kto wie, może i żył.

Skądżeby się bowiem wzięło takie imię: Fantazyusz, jeśliby go ktoś, gdzieś, kiedyś nie nosił?...

Zostało imię, musiała być osoba.

Podobno nawet Fantazyusz ten był królewiczem; w bajkach królewiczów jak nasiał, ja jednak przypuszczam, że musiał być czemś innem, bo gdyby miał królestwo, po cóżby szczęścia szukał, i to po nocy, w ciemnym, strasznym borze, zadając się z duchami i t. p. niebezpieczną kompanią?

A historya właśnie powiada, że królewicz Fantazyusz miał wszystkiego w bród, tylko szczęścia nie miał, i dlatego postanowił go szukać przy pomocy pewnego czarownika, który na dworze Jego Mości starego króla Fantazyusza I-go był niby to medykiem, a niby ochmistrzem, czy czemś takiem, ale w każdym razie bardzo ważną figurą.

On to, widząc młodziana zamyślonego i smętnego ciągle, pomimo, że cały świat się do niego uśmiechał, a cały dwór łasił z pochlebstwami, miał go pytać raz po raz:

— Nad czem też Wasza Królewska Wysokość tak sobie tę śliczną głowę suszy?... wszak-ci to grzech marnować tak najpiękniejsze chwile życia i chodzić z taką markotną fizyognomią po świecie, szukając ciągle tego, czego się nie zgubiło.

Ale królewicz uśmiechał się tylko melancholijnie, wzdychał i odchodził bez odpowiedzi, pogrążając się w jeszcze większą zadumę.

Miał taką minę, jak gdyby mówił:

— Waćpan jesteś uczony osioł, skoro się nie domyślasz, czego mi brak!..

Wreszcie któregoś dnia, błądząc swoim zwyczajem po krużgankach starego zamku królewskiego i przyglądając się z okien zachodzącemu słońcu, Fantazyusz zaszedł do pracowni czarownika, która się mieściła w narożnej baszcie od północy, i jak senny stanął przy olbrzymiej kuchni pod okapem, na której w tyglach, garnkach i kociołkach przemądry mąż warzył jakieś zioła tajemnicze i robił z nich filtry przedziwnej mocy.

— Magusie — zaczął po długiej chwili, — czy ty wiesz wszystko?...

— Prawie, — odparł Magus ze skromnością mędrca na dworskim etacie.

— Więc wiesz o czem myślę i czego szukam? — prawił dalej królewicz, ale Magus głową potrząsnął, brodę sięgającą mu aż do kolan palcami przegarnął i odrzekł:

— Nie... tego nie ośmieliłbym się wiedzieć, bez ubliżenia Waszemu Królewskiemu Majestatowi.

Fantazyusz uśmiechnął się na takie pochlebstwo i pokręcając swój sobolowy wąsik, odezwał się znowu:

— Zgadnij, czego mi potrzeba, — ale Magus z godnością podniósł głowę i powiedział z dumą:

— Jako mędrzec wiem, albo nie wiem, ale zgadywać nie próbuję, bo to przystoi tylko ludziom prostym i umysłom lada jakim. Racz Wasza Królewska Wysokość powiedzieć mi wprost czego pragniesz, a w mig posiądziesz, z mojej ręki. Cóż to jest, czego Waszej Królewskiej Wysokości tak bardzo potrzeba?

Fantazyusz ręce splótł i westchnął ciężko:

— Szczęście.

— Szczęście?... —, z niedowierzaniem powtórzył czarownik, — szczęście?...

ależ to drobnostka!... Jeżeli tylko o taką bagatelę chodzi, to możemy je mieć na każde zawołanie. Jakie szczęście i do czego, pragniesz Wasza Królewska Wysokość posiadać?.. niech wiem, czem mogę służyć.

Tu przyszła na Fantazyusza kolej zadziwić się i z niedowierzaniem spojrzeć na mówiącego.

— Jak to, jakie szczęście? — zaczął — no, szczęście, mówię ci. Czy ono jest tak różnolite?... czyż nie jest jedno jedyne?... czyż jest go więcej na świecie?...

— A rozumie się, — rzekł, — że szczęście dla każdego człowieka jest inne i do niego żywcem podobne. Czy to Waszej Król. Mości profesor filozofii i metafizyki tego nie wykładał?... Szczęście jest, jak ciżmy, na każdą nogę inne i inaczej dopasywane, bo gdy jednemu za duże, drugiego uciskają, jeżeli nie dobrane na miarę. Co człek, to inna noga i inne szczęście: temu to, tamtemu owo służy, ten tego, tamten owego pragnie. Jakiegoż szczęścia Waszej Wysokości potrzeba?... niech usłyszę.

Mówił to, jakby miał kram z obuwiem na wszelką nogę, a nie dystrybucyę szczęśliwości ludzkiej posiadał.

Fantazyusz stał zadumany.

Zaskoczyło go znienacka zapytanie Magusa i nie wiedział, co odpowiedzieć, ale rychło oprzytomniał i rzekł:

— Daj mi największe szczęście na świecie, dla mnie młodego najwłaściwsze; wskaż, gdzie je szukać i jak je posiąść, miły Magusie, a wdzięczen ci będę do końca żywota!...

Magus zchmurzył grube brwi, co mu jak wąsiska drugie nad oczami wisiały i jął rozważać coś głęboko, potem przewracał starą księgę pergaminową, potem w niebo przez teleskop zaglądnął, potem w oczy spojrzał królewiczowi, a w końcu wziął swoją pałeczkę czarnoksiężką i zakreślając nią w powietrzu linie w kształcie serca, począł mówić tak:

— Stanie się woli Waszej Wysokości zadosyć, posiądziesz szczęście największe, jakie wiosną życia zakwita, jakiego ci brak przy bogactwach, sławie, młodości, zdrowiu i dostojeństwach, wszelako...

Tu zatrzymał się i głos zawiesił na wysokiej nucie.

— Wszelako... — powtórzył i znowu urwał.

Fantazyusz rumieńców dostał z ciekawości, oczy mu zapłonęły, pierś się wznosiła szybko.

— Wszelako co?... mówże Magusie! — naglił.

— Wszelako przysiądz musisz, pod groźbą kary okrutnej, że głowy nie stracisz i nie pożądasz więcej nad to, co mieć możesz.

Królewicz bez namysłu podniósł dwa palce do góry i zawołał:

— Przysięgam!...

Wówczas Magus trzykrotnie uderzył swą laseczką w ziemię, z niej wionął płomień pachnący różami, a z płomienia wyskoczyło pacholę, z wejrzenia do Amora podobne, z łukiem przez plecy zawieszonym i sajdakiem pełnym strzałek; na głowie jaśniały mu złote różki, jak u djabełka, a u paluszków krogulcze szpony.

— Figliku, — odezwał się czarodziej, — przed północą zawiedziesz Jego Wysokość na Paprotną Polanę do lasu, i zanim księżyc wzejdzie, pokażesz mu szczęście kwitnące; niechaj zerwie kwiat jeden i wraca bez szwanku. Czuwaj, byle niczego nie prześlepił i godziny nie zmarnował!...

Figlik jedno oczko zmrużył, uśmiechnął się filuternie i główką skinął na znak, że spełni polecenie.

Potem skłonił się przed Fantazyuszem i zaśpiewał słowiczym głosem:

Komu w drogę, temu czas!
Tuż, tuż rośnie szczęścia kwiat,
Kto go dzisiaj zerwać rad —
Za mną, za mną, za mną w las!...

Skrzydełkami zaczął trzepotać, jak ćma nocna, i ciągle wyprzedzając królewicza, wiódł go na Paprotną Polanę, gdzie szczęście o północy w tę jedną noc tylko raz do roku zakwitało.

Po drodze kazał mu się przepasać bylicą, uszczknąć świętojańskie ziele i trzymać w ręku, aby złe duchy po wierzbach i spróchniałych pniach siedzące, nie mogły go napastować z żadnej strony; zabronił mu też patrzeć poza siebie, jeno iść prosto, a nie bać się niczego.

Fantazyusz szedł, drżąc coraz więcej z jakiegoś uczucia, którego nigdy przedtem nie doświadczał, i rozmyślał nad tem, co go spotkać miało.

— Jak też to moje szczęście, wyglądać może? — pytał się w duchu, i zamiast dawnej tęsknoty, do niego, dręczyła go teraz sama ciekawość.

— Dalekoż jeszcze ta polana? — odzywał się co pewien czas, a Figlik się śmiał i powtarzał tylko:

— Tuż, tuż!...

Weszli w las i ciemno się zrobiło, że na trzy kroki i widzieć było trudno, tylko różki Figlika, jak dwa błędne ogniki, złotawo połyskiwały.

— Pst, pst! — odzywało się to z boku, to nad głową Fantazyusza, ale pomny przestrogi nie odwracał się poza siebie, aby pokusom nie dać się złowić i czaru nie zepsuć.

Mrok zapadał tak gęsty, że po omacku trudno było postępować.

Raz w raz to go coś za suknię skubnęło niewidzialnymi palcami, to po twarzy musnęło jakby lepkim językiem, to za łokieć schwyciło i przytrzymać chciało.

Wyrywał się i szedł dalej.

Nagle zaskoczyło mu coś dużego drogę i stanęło przed nim, że aż nosem — bęc!... uderzył o to.

— Zczeźnij, biedo! — szepnął i skoczył na bok, a owa przeszkoda zdała się posuwać przed nim ciągle i zagradzać mu drogę.

Wyciągnął rękę i przekonał się, że to był pień ogromnego drzewa, które okrążyć musiał, aby przejść dalej.

W gąszczu co kilka kroków czekała nań nowa jakaś zasadzka, przed którą usłużny Figlik co chwila ostrzegał.

— Za mną, za mną! – wołał, a po nocy, w głuszy leśnej, głosik jego brzęczał, jak dzwonek szklany.

I szedł za tym głosem królewicz, zamyślony o szczęściu swojem; nogi mu się ślizgają po mchu, który jak aksamitny chodnik wyścielał ścieżkę wąską, wijącą się między drzewami.

Znagła poczuł, że mu coś nogi spętało, owinęło się około jego kolan i na ziemię go powaliło.

Rymnął, jak długi, że aż w nim wszystko jękło; sięgnął ręką co żywo i namacał jakieś ciało wilgotne, zimne, gładkie a pulchne, które go pierścieniami jakoby opasało.

— Nic innego, tylko to wąż musi być — pomyślał, i dreszcz po nim przeszedł; zaczął jednak te pierścienie żywe zsuwać z siebie, a one syczały mu pod palcami i świeciły, jak próchno w ciemności...

Rozpętał sobie w końcu jakoś nogi, powstał co tchu i przyśpieszył kroku, a gad się za nim czołgał czas jakiś, jakby go koniecznie w pięty chciał ugryźć.

— Hop, hop! — zaczął tedy wołać zdyszany, bo mu się gdzieś przewodnik zgubił i nie wiedział, w którą skierować się stronę, — a gdzież ta polana?... hop, hop!...

Zachychotało coś przy nim bliziutko i ujęło go za rękę po ciemku.

— Jestem, jestem — odezwał się głos Figlika, — jeszcze maluchno, a będziemy na miejscu; natrafiłem na świeże poziomki, więc nazbierałem sobie do kołczana trochę; będzie co jeść na spoczynku.

Fantazyusz pomyślał, że przydałyby mu się takie oczy, przy których można poziomki dojrzeć w nocy pod drzewami.

— A jakże ja to moje szczęście zobaczę w takiej ciemności? — spytał.

Figlik go pocieszał.

— Jakoś to będzie, jakoś to będzie...

Szli teraz wolniejszą drogą, las się przerzedzał, z ziemi pulchnej ciepłe opary się wznosiły, zapach surowizny i macierzanki mieszał się w powietrzu; czasem zaleciało smółką, a czasem najwyraźniej jaśminy zapachniały, jakby kto całym bukietem pod samym nosem Fantazyuszowi przesunął.

— Ot, i jesteśmy na Paprotnej Polanie! — odezwał się nareszcie głos Figlika, a królewicz wtedy, jak mógł najszerzej oczy otworzył i oniemiał z podziwu.

Było podobno z czego.

To, co teraz ujrzał, dopiero na prawdziwą bajkę zakrawało...

W małej kotlince wysłanej murawą, niby najpiękniejszym perskim kobiercem, stały w okrąg stuletnie drzewa, a może i starsze, dęby i buki, i lipy, i jawory, i brzozy, a pod niemi rosły olbrzymie kępy paproci o fantastycznych kształtach, rozłożyste, jak pawie ogony, pozwijane jak pastorały, powykręcane i rosochate, jak jelenie rogi, pierzaste, jak pióropusze, a obwieszone niby szmaragdową rosą świetlikami błyszczącymi, z których zielony blask rozlewał się w delikatną, przezroczystą, tajemniczą jakąś poświatę naokół.

Mrowia robaczków świętojańskich unosiły się w powietrzu nad każdą taką kępą i falowały nad nią, migocąc swemi seledynowemi latareczkami, że jasno było niemal, jakby kto greckie światło w krzakach palił...

Drzewa zdawały się obejmować ramionami, i chociaż cisza była i spokój w tym leśnym zakącie, chwiały się lekko, zupełnie jak w miłosnych uściskach, przytulając do siebie swoje głowy w liściastych koronach i dyademach, z łagodną, rozmarzoną jakąś pieszczotą.

Figlik puścił rękę królewicza, wskoczył na ogromny liść łopianu i usiadł na nim, by wypocząć.

— Północ już blizko — szepnął doń,— paprocie rozkwitają, szczęście wasze, Mości książę, leży ukryte w tych świecących kępach, otulone liściami, śpi teraz. Spieszcie się, aby je posiąść!... bo jeżeli nie zdążycie go zbudzić, nim północ uderzy, wszystko na nic. Czarów moc przejdzie i nie przydadzą się zaklęcia. Spieszcie się, żywo!...

Fantazyusz stał niezaradny, chociaż przysiągł, że głowy nie straci.

— Cóż mam czynić? — zagadnął towarzysza.

— Pójść, rozgarnąć paprocie i zobaczyć swoje szczęście.

— Ono tam?

— A tak; zobaczcie jeno!...

Nie przypuszczał, że go ta chwila tak zmiesza, choć się zdawał na nią przygotowany; chwilkę się jednak zawahał, zanim do pierwszej kępy przystąpił, w pływających światełkach brodząc powyżej pasa, liście odchylił i zajrzał...

Dech mu w piersi zaparło; chciał z podziwu krzyknąć, ale nie mógł, tak go niespodziane to odkrycie oczarowało.

Patrzał i patrzał, i o sobie samym zapomniał...

Pod paprociami, na posłaniu z pluszowego mchu, zamiast błyszczącego kwiatu, zobaczył cudnie piękną dziewicę, niby nimfę leśną, niby rusałkę uśpioną, nakrytą płaszczem złotych włosów o twarzyczce uśmiechniętej słodko, o usteczkach odchylonych tyle, by z pomiędzy nich, jak perełki pomiędzy listkami róży, zabłysnąć mogły białe, równe ząbki.

Swietlików rój krążył nad jej główką kształtną i przyświecał niby aureola.

— Więc to jest szczęście? — szepnęły usta Fantazyusza, gdy oprzytomniał z pierwszego wrażenia, — kobieta?... kobieta ma być prawdziwem szczęściem mego życia? — mówił, jakby do siebie i na czole jego osiadła wątpliwość, a na ustach uśmiech niedowierzania.

Jakoś mu się to nieprawdopodobnem wydało.

— Toż ma być szczęście? — powtarzał, ale zachwyt budził się w nim coraz większy i w oczach mu świecił, gdy podziwiał urocze zjawisko, jakiego na jawie dotąd nigdy nie spotkał.

I wówczas usłyszał, jakby z odpowiedzią głos Figlika, bujającego się na liściu łopianu i zajadającego poziomki, uzbierane w lesie:

Nie ona szczęściem, nie ona,
Lecz przez nią może być cud!...
Zbudź pocałunkiem ją wprzód,
Niech ze snu wstanie spłoniona,
A znajdziesz pośród jej łona
Skarb droższy nad cały świat...
Kto miłość miłością wzbudzi,
Ten najszczęśliwszy jest z ludzi,
Ten znalazł czarowny kwiat,
Co w płomień zamienia lód; —
Nie ona szczęściem, nie ona,
Lecz przez nią może być cud!...

Słowa piosenki rozbrzmiewały w powietrzu, jak dalekie echo słowiczych dźwięków...

Fantazyusz słuchał i jaśniej mu się w myślach robiło.

— Aha, to miłość ma być szczęściem, miłość! — mówił sobie i powtarzał coraz ciszej: — miłość... miłość... miłość!...

Ale świetliki, jakby znudzone tem, że tak długo się wahał, czy ma śpiącą rusałkę obudzić pocałunkiem, zerwały się nagle i ławą błyszczącą popłynęły na drugą kępę paproci, a królewicz instynktownie poszedł za nimi, choć mu już ciężko było odrywać oczy i serce od tej złotowłosej boginki.

— Zobaczmy, może tu inne jakie szczęście kwitnie, — powiedział sobie i znowu liście rozgarnął a między nimi na mchowej łożnicy ujrzał znowu uśpioną dziewoję jeszcze piękniejszą, tylko o włosach kruczych, bujnych, w grubych pierścienich wijących się po szyi i obnażonych piersiach.

Usta jej drżały, jakby łakome pocałunku, a nozdrza poruszały się przy każdym oddechu, jak skrzydełka motyle.

Jeśli tamta była wcielonem marzeniem, ta wyglądała na rozkosz wcieloną...

Zachwycony Fantazyusz stanął znowu, jak wryty, a fala krwi gorącej uderzyła mu do skroni.

Pochylił się nawet bezwiednie, jakby te usta malinowe pociągnęły go do pocałunku same, ale się oparł jeszcze w porę.

To drugie szczęście jeszcze piękniejszem, jeszcze ponętniejszem wydało mu się od pierwszego.

Głos Figlika znowu go ocucił.

— Wybieraj, wybieraj, wybieraj! — wołał — czas umyka, północ blizko; śpiesz, śpiesz, bo będzie za późno!...

Świetliki na trzecią kępę odleciały, a za nimi podążył i królewicz, aby za chwilę znaleźć inną najadę, tym razem otuloną zwojami miedzianych włosów, o białej, niby z alabastru twarzy, o rysach jeszcze kształtniejszych i jeszcze rozkoszniejszym wyrazem kuszących.

— Wybieraj, wybieraj, wybieraj! — naglił głos Figlika, zjadającego resztki poziomek.

— Jeszcze tam, jeszcze tam tylko zobaczę! — wołał rozgorączkowany Fantazyusz, do następnej śpiesząc kępy i chciwie rozgarniając paprociowe zasłony, by ujrzeć pod niemi coraz inne a coraz ponętniejsze wdzięki uśpione.

Tracił głowę i pragnął posiadać coraz więcej, wbrew złożonej przysiędze.

I w kółko tak się kręcił od jednej do drugiej boginki tajemniczej, to tu, to tam znajdując u każdej coś piękniejszego, coś bardziej pociągającego, coś, czego u innych nie zauważył...

W głowie mu wirowało i pryskało iskierkami, jakby do czaszki nawłaziło świętojańskich robaczków przez oczy rozwarte, przez uszy zasłuchane, przez usta drżące namiętnie; nie wiedział sam, co począć, które szczęście wybrać, na którem poprzestać, jaką miłość dla siebie zbudzić pocałunkiem...

Opętany był czarem wdzięków, którym się napatrzył tak dużo i czuł, że sił mu ubywa, że chaos ma w głowie, i w sercu, i w zmysłach; mroczyło mu się w oczach, chociaż nad kępami coraz więcej świetlików rozlewało zieloną powódź blasków i gwiazdy migotały coraz jaśniej nad jego głową.

Figlik rozciągnięty na łopianowym liściu, jak długi, piąstkami podparł brodę i chychotał złośliwie, wodząc oczyma ze Fantazyuszem, jakby myślał:

Oj, głupi, głupi!..

A królewiczowi się zdało, że słyszy z pod paproci płynące westchnienia i że jego szczęścia przez sen go wołają z utęsknieniem:

— Fantazyuszu, Fantazyuszu!...

Więc postanowił zdać się na ślepy traf, oczy zamknąć i wybrać już pierwszą lepszą z rusałek, skoro na jednym kwiecie szczęścia poprzestać miał, z całego bukietu z nich posiąść nie mógł; pokuszenia go rozrywały na wsze strony i zapomniał zupełnie, że nie miał pragnąć więcej nad to, co mógł posiadać i nie słuchał ostrzeżeń Figlika:

— W jednej tylko, w jednej miłości szczęście!... wybieraj jedną ze wszystkich jedyną — a żywo, chyżo, śpiesz się, północ tuż, tuż!...

A wtem przez las zdaleka, z zamkowej wieży zabrzmiało ponuro:

— Bam!... bamm... bammm!...

I dwanaście takich „bammm!..." przepłynęło powietrze, a za każdem gasły światełka na paprociach, spadały w trawę z ich liści szmaragdowe bąble błyszczące, ciemność zalewała polanę coraz grubsza, wiatr się zrywał i budził ze snu świętojańskiej nocy stare dęby, buki i jawory, gasząc hen na polach ognie sobótek, a w lesie resztki świetlików migających na mchu i trawie...

Na drugie rano ciekawie zaglądało słonko do leśnej polany, bo mu księżyc opowiadał, schodząc o świcie z nieba, całą historyę Fantazyusza i jego nocnej przygody; zaglądało przez drzewa, pomiędzy pnie, pod kępy paproci, gdzie miały leżeć uśpione rusałki, ale... śladu po nich nie znalazło.

Próchna i kamienie leżały tylko; na liściu łopianu zaś zamiast ślicznego Figlika siedziała nieruchomo duża, brzydka, zielona ropucha i wytrzeszczonemi oczyma wodziła za żółtym motylem, który latał w kółko po całej polanie i chwiał się nad paprociami, jak gdyby czego szukał...

— Ten księżyc, to stary pijanica, — mówiło sobie słonko, — włóczy to się po nocach i niestworzone potem wygaduje bajdy. Znowu mu się coś przywidziało po pijanemu!

I mnie się zdaje, że słonko miało racyę.

Jak myślicie?..

M. Gawalewicz.

ZŁOTE MYŚLI.

Praca najlepiej broni od nudów i nędzy, ona jest najlepszem na smutki lekarstwem; pracą małe cierpienia odpędzić można i trzeba. *Kraszewski.*

*

Człek się rodzi do pracy; kto czas traci [marnie,
Tak żyje jak ów, co go sen wieczny [ogarnie.
Naruszewicz.

*

Kto niechętnego przymusza do pracy,
Chce wilkiem orać, jak mówią Polacy.
Minasowicz.

Kronika.

Mam przyjaciela, który należy do rzędu szczęśliwców, żyjących w błogiem przekonaniu, że on wszystko wykonałby lepiej, niż inni.

Rozmawia dużo, moralizuje, daje rady i każdą rozmowę w jakiej bądź poważniejszej kwestyi rozpoczyna od słów: „Gdybym ja był na jego miejscu, zupełnie inaczejbym zrobił,... i po tym wstępie rozpoczyna rozwijać swoje teorye.

Przyznaję, że nieraz jego uwagi są bardzo trafne, inna rzecz jednak teorya, a inna praktyka.

W ostatnich dniach spotykam się z tym mym przyjacielem w kawiarni — rozmowa toczy się o wypadkach bieżących. Rozmawiamy między innemi także o najnowszej konfiskacie numeru pewnego codziennego pisma i mój przyjaciel rozpoczyna:

— Gdybym ja był redaktorem, pisałbym tak, że ani jednego nie miałbym procesu. —

Ja sam nie jestem redaktorem, tylko raz w tydzień piszę „Kronikę“ do „Pracy.“ Kiedyś pragnąłem nim zostać, naturalnie nie redaktorem od kozy, tylko prawdziwym redaktorem z takiemi nożycami, jakie widziałem w pewnem piśmie humorystycznem. Lecz obecnie trzymam się zawsze jeszcze w zapasie i dopiero, gdy wszystkich redaktorów polskich wsadzą do kozy lub przepędzą za granicę, ofiaruję moje usługi. Sądzę, że wówczas z chęcią mię przyjmą.

Zważywszy więc, że może kiedyś wstąpię do jakiej redakcyi z świeżo wyostrzonemi nożycami — nadstawiłem ucha, aby nic nie uronić z słów mego przyjaciela.

A więc, gdybyś ty był redaktorem, nie miałbyś ani jednego procesu. Jakim to sposobem zamierzasz osiągnąć? Czy wynalazłeś jaką drukarską farbę, sympatyczną, która tylko dla tych jest widoczną, co nie mają złych względem pisma zamiarów, a dla królewskiej prokuratoryi jest zupełnie niewidoczną?

— Wcale nie, mój drogi. Przedewszystkiem redaktorzy nasi, nie wyjmując ciebie, który w duchu, wiem o tem, aspirujesz do takiej posady, nie mają pojęcia o redagowaniu pisma.

Usłyszałem przy pobliskim stole jakiś ruch. Kilka gazet trzymanych dotąd tak, że z siedzących osób widoczne były tylko ręce i nogi, opuściło się z szelestem i z za tych papierowych przyłbic wychyliły się oblicza sympatyczne i mniej sympatyczne kilku redaktorów. Inni nadstawili uszu.

— Tak, powtarza mój przyjaciel, dostrzegłszy redaktorów — nie macie pojęcia o redagowaniu pism. Bo na co to, moi panowie, pisać jakieś długie artykuły wstępne — nikt ich nie czyta, tylko Hakatyści i policya.

Pisać krótko i to takim sposobem. Naprzykład: Podać awanturki uliczne, pchnięcie nożem, opis procesu o morderstwo, „Lokalanzeiger“ podaje ich dużo, zaręczyny, śluby, samobójstwa, krach niemieckich banków — co tydzień jeden przecież krachuje, kilka dobrych rad o oszczędności, o dorabianiu się majątku, kilka uwag na czasie, o wiosennych modach, — jeżeli zima, o zimowych modach — o zaprawianiu ogórków, o konfiturach i naturalnie dużym tłustym drukiem: **Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku.** — Piszcie tak, a nikt wam numeru konfiskować nie będzie. Nerwy wasze będą spokojne, prokuratorya nie będzie się miała czego czepić.

Na te słowa powstał jeden z panów, rzeczywisty redaktor i powiada:

— A co pan zrobisz, jeżeli do pana napiszą, że tam a tam znowu zniesiono naukę języka polskiego, że znowu pobito dziecko polskie, że znowu zakazano wieca i t. d. Rzucisz pan to wszystko do kosza?

Tak zagadnięty przyjaciel mój namyślił się i odrzekł:

— Mój panie, ja nie jestem redaktorem i mówię tylko, że pisałbym tak, jak powiedziałem, gdybym nim był, lecz ja w dzisiejszych czasach być nim nie chcę.

— Słowem pan przyznajesz, że w dzisiejszych czasach — trudno być redaktorem.

— Bardzo trudno, ale to już wasza rzecz.

Pierwszy raz spostrzegłem, że mój przyjaciel, który na wszystko ma radę — nie umiał się z sytuacyi wykręcić i zamilkł.

Tak jest, pisz jak chcesz, oczywiście nie o samych konfiturach, żgnięciach nożem i t. p., a sposób przyskrzynienia cię zawsze się znajdzie.

Z tej rozmowy wynikła dla mnie nauka, że jeszcze nie czas na mego przyjaciela, aby został redaktorem — a i dla mnie, że jeszcze mogę się trzymać w zapasie.

Rozpisałem się nieco za długo o położeniu redaktorów polskich pod pruskim zaborem, przyznacie jednak państwo, że nie jest ono ani świetnem, ani do pozazdroszczenia.

Ale każdy zawód ma swoje dobre i złe strony. Ma więc i redaktor swoje jasne chwile.

Bo niepodobna, aby nie miał otrzymywać dowodów wdzięczności ze strony swych czytelników.

Na zakończenie mogę donieść, że majówka zbiorowa Towarzystw Lutni, Warty i Czytelni udała się dobrze, tańczono ochoczo i bawiono się wyśmienicie.

Przy tej sposobności zwracam uwagę, że dnia 23 czerwca urządza „Stary Przemysł“ zabawę doroczną w ogrodzie p. Piotrowskiego w Urbanowie.

Acer.

Czas największy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fenygów.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: **Abtheilung II t. poln. Nr. 103.**

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

☛ Już każdy pojedyńczy numer „Pracy“, z opisem malowniczym W. Ks. Poznańskiego, pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, przeniesie wartość abonamentu.

Szanownych Czytelników
w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie*

ładną książkę.

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią

piękną powieść historyczną
w trzech tomach,

lub też inne piękne książki.

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Początek bardzo zajmującej powieści pod tytułem

„Zagadkowe drzwi“

której druk rozpoczęliśmy w 24-ym numerze, oraz początek pięknej oryginalnej powieści, osnutej na tle powstania narodowego z r. 1830/31, p. t.

„Miłość bez granic,“

której druk rozpoczęliśmy w dzisiejszym numerze, dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy,“ upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Czytelnicy! Nie opuszczajcie „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników. Mamy tę ufność i wiarę w Was, że z tej burzy co się nad nami rozszalała teraz, wyjdzie „Praca“ zwycięzko i obcym zaimponuje liczbą swych zwolenników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Baczność! Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ zamieszczone są na pierwszej stronie pod okładką.

Odezwa.

Na odbytym w roku 1899 czwartym zjeździe Techników polskich w Krakowie, poruszono w sekcyi przemysłowej tyle żywotnych przedmiotów, wiążących się z pierwszorzędną dla kraju sprawą podniesienia przemysłu, że Zjazd uważał za wskazane polecić Stałej Delegacyi Zjazdu zajęcie się zwołaniem specyalnego wiecu przemysłowego. W wykonaniu tej uchwały Stała Delegacya, powoławszy do prac przygotowawczych komitety w Krakowie i Lwowie, zwołuje niniejszem na wrzesień 1901 do Krakowa

pierwszy zjazd przemysłowy.

Całemu społeczeństwu naszemu przyświeca dziś hasło wewnętrznego odrodzenia; dąży do niego zbiorowa praca licznych stowarzyszeń, które drogą coraz szerszej oświaty, coraz szybszego i skuteczniejszego rozwoju ekonomicznego, wreszcie wpajaniem coraz gorętszego poczucia obowiązków obywatelskich, wywalczyć pragną narodowi lepszą przyszłość i poważniejsze niż dotąd stanowisko wśród narodów Europy.

Że w tym wielkim procesie odrodzenia praca nad podniesieniem rodzinnego przemysłu jest jedną z najcelniejszych, nikt nie zaprzeczy. Postawić silny przemysł obok rolnictwa, zdobyć w nim nowe źródło dochodu dla rozmnożonej ludności, która z braku zajęcia i zarobku zmuszoną jest opuszczać kraj rodzinny, wytworzyć silny, inteligentny, obowiązków swych świadomy stan średni, pomnożyć majątek narodu i dać mu silne podstawy materyalnego bytu celem podjęcia skutecznej walki z konkurencyą zagranicy, — to program, który od lat wielu uznajemy, ale który bezustannie odświeżać, umacniać i coraz potężniej w życie wprowadzać należy.

Jest to szczególniej zadaniem technika polskiego, ażeby z zawodową swą działalnością łączył ogólny cel ekonomicznego odrodzenia kraju, ażeby wiedzą swą wspierał jak najgoręcej wszystkie zabiegi około wytworzenia silnego, swojskiego przemysłu. Bezowocnemi wszakże będą jego usiłowania, jeśli z równą gorliwością nie staną do wspólnej pracy przemysłowcy, kapitaliści, wytwórcy, kupcy i ekonomiści, jeśli się nie wytworzy cały łańcuch współdziałaczy, od których podniesienie przemysłu zawisło. Wszystkim powinno zależeć na tem, aby dla wytworzenia silnego przemysłu działać w bezustannem ze sobą porozumieniu, ażeby wyzyskiwać roztropnie przyrodzone bogactwa tej ziemi, siłę pracy i inteligencyę ludności, a tem samem stawić zaporę napływowi obcych wyrobów, który z nas stale ssie soki żywotne i do nieuniknionego doprowadza upadku.

Tą myślą powodowani zwołujemy Zjazd nietylko samych przemysłowców; pragniemy owszem, by w nim wzięli udział jak najszerszy ekonomiści, kapitaliści, technicy i kupcy, oraz posłowie na Sejm i do Rady Państwa, — bo tylko przy udziale jak najszerszych warstw społecznych możemy mieć nadzieję, że wynikiem Zjazdu nie będą tylko teoretyczne zapatrywania i projekty, ale również zapoczątkowanie niejednego przedsiębiorstwa przemysłowego.

W tem rozumieniu odwołujemy się do wszyskich, którym rozwój przemysłu krajowego nie jest obojętnym, aby licznym udziałem w I. Zjeździe przemysłowym w Krakowie stwierdzili zgodność z poruczonemi ideami.

Dokładny czas Zjazdu przemysłowego w Krakowie, program i warunki uczestnictwa, poda osobne ogłoszenie we właściwym czasie. Informacyi i objaśnień udzielają komitety dla Zjazdu przemysłowego przy Towarzystwie Technicznem w Krakowie Rynek 17 i przy Towarzystwie Politechnicznem we Lwowie, Chorążczyzna 17.

Kraków / Lwów — w czerwcu 1901.

Stała Delegacya IV. Zjazdu Techników Polskich

Stanisław Świeżawski, sekretarz, Zygmunt Kędzierski, prezes. Członkowie: Bolesław Weryha Darowski, Bolesław Długoszowski, Ignacy Drewnowski, Roman Dzieślewski, Karol Edward Epler, Kazimierz Gąsiorowski, Edmund Grzębski, Edward Heppé, Józef Kajetan Janowski, Roman Ingarden, Maryan Kuczyński, Tadeusz Sikorski, Adam Teodorowicz.

Komitet I-go Zjazdu przemysłowego w Krakowie,

Komitet krakowski: Edmund Zieleniewski, przewod. Mieczysław Dąbrowski, zast. przew. Bernard Liban zast. przew Józef Górecki, sekretarz, Karol Rolle sekretarz. Członkowie: Dr. Artur Benis' Anastazy Chmurski, Jan Goetz Okocim'ski, Adam Kirchmajer, Zygmunt Kremer hr. Andrzej Potocki, Dr. Mieczysław Sędzimir, Prof. Gustaw Steingraber, Stanis

ław Sulikowski, Dr. Henryk Szarski, Edward Uderski, Karol Włodzimirski. Komitet lwowski: Juliusz Ross, przewodniczący Bolesław Weryha Darowski, sekr. Członkowie: Leopold Baczewski, br. Alfons Gostkowski, Andrzej Kornella, Jan Lewiński, Marcin Maślanka, Zygmunt Piotrowicz, Dr. Jan Roszkowski, Dr. Tadeusz Rutowski, Dr. Władysław Stesłowicz, Wiktor Syniewski, Józef Szaynok, Wenanty Szydłowski, Józef Tuleja, Józef Wczelak, Wacław Wolski.

Wszelkich objaśnień i informacyi udziela Delegat Związku na Prusy p. budowniczy Ludwik Frankiewicz, Poznań Ogrodowa ul. nr. 13.

Baczność!

Baczność przy zmianie kwartału!

Coraz częściej otrzymujemy skargi Czytelników, że poczta nie dostawia im zaabonowanych egzemplarzy „Pracy.“ Nie jesteśmy w możności sprawdzić, czy ten fakt wzrastających skarg należy zaliczyć na karb walki poczty z polskim językiem, jednakowoż zwracamy uwagę wszystkim Czytelnikom, że my zupełnie punktualnie i regularnie oddajemy poczcie potrzebną liczbę numerów, sama zaś dostawa do abonentów nie należy już do nas i my zaradzić złemu nie jesteśmy w stanie. Aby dojść do swego prawa i poczcie nie dać pola do jakiegośkolwiek upośledzania pism polskich, każdy Czytelnik, jeśli tylko nie otrzyma numeru na czas, (t. j. w niedzielę) powinien energicznie na właściwej poczcie się upominać, napisać zażalenie do naddyrekcyi (*Oberpostdirektion*) i nie dać zbyć się wykrętami, że to wina ekspedycyi. Poczta *musi* mu numer dostarczyć, choćby miała specyalnie dla niego po jeden zagubiony numer zwracać się do Poznania.

Redakcya i Ekspedycya „Pracy.“

Wiadomości.

— **Zakazany wiec.** Zapowiedziany na zeszłą niedzielę wiec w Buku został zakazany! Oto pismo, jakie przewodniczący komitetu wiecowego, p. Koschmieder z Wielkiejwsi, otrzymał od miejscowej policyi:

„Buk, 14 czerwca.

Na pismo z dnia 12 odnośnie 13 b. m., odpowiadam Wielmożnemu Panu, że pominąwszy to, iż stodoła nie nadaje się wogóle na zebrania dla ludzi (!), — na odbycie w dniu 16 b. m. wieca w sprawie nauki języka polskiego i religii — „w interesie publicznego bezpieczeństwa“ (!!) nie można udzielić pozwolenia.

(Podpis nieczytelny.)“

Spodziewać się należy, że komitet sprawy tej nie popuści, lecz zażąda od bukowskiej policyi wyjaśnienia, na jakiej podstawie rości sobie prawo do zakazu wieca. Nie uprawnia jej do tego to, że wiec odbyć się miał w stodole, gdyż w stodołach wiele już wieców odbyto, co dopiero w Rzegocinie. Niema też policya prawa zakazać wieca w „interesie bezpieczeństwa publicznego“, chyba w razie zakłócenia spokoju może wiec rozwiązać. Kłucie szpilkami odbywa się na całej linii, ale my powinniśmy wszędzie z energią i konsekwencyą bronić swego dobrego prawa!

— **Nowe agentury** „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ otworzyliśmy:

we *Wrześni* w handlu cygar p. *J. Starkiewicza,*

w *Król. Hucie* w księgarni p. *A. Komendzińskiego,*

w *Bochum* w handlu win i cygar p. *I. Kwaśniewskiego* przy Kais. Friedrichplatz 2,

w *Hörde II.* u p. *Antoniego Strójnowskiego.*

— **Firma Ikon** (właścicielka pani Seweryna Neyman) w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej nr. 1. ma na składzie wielki wybór nadzwyczaj pięknych obrazów świeckich i religijnych po cenach rzetelnych, umiarkowanych. Firma podejmuje się także oprawy obrazów w gustownie dobrane ramy.

— **Dreliszki**, płócienka, wełniane materye lekkie na porę latową, ryps i t. d. poleca w wielkim wyborze po tanich cenach p. Jan Mikołajczak w Poznaniu przy ulicy Jezuickiej nr. 12.

— **Zwracamy uwagę** interesentów na umieszczony anons Banku Przemysłowców w Poznaniu, dotyczący depozytów.

— **Zwracamy** uwagę Szanownej Publiczności na ogłoszenie firmy „Havana“ — wysyłkowy dom cygar — specyalność: prawdziwe importy, oryginalne bremeńskie cygara i papierosy własnej fabrykacyi. Firma rzeczona, której właścicielem jest dzielny kupiec, p. S. K. Samoliński, otrzymała w przeciągu półrocznego swego istnienia już dwa razy odznaczenia za swe znakomite wyroby, mianowicie w Poznaniu wielki srebrny medal i dyplom honorowy, oraz w Berlinie wielki złoty medal i dyplom honorowy.

— **Pomnik** cesarza Fryderyka Wilhelma ma, jak wiadomo, stanąć w Poznaniu na placu Wilhelmowskim, między biblioteką Raczyńskich i hotelem Rzymskim. Fundusz na to przeznaczony wynosi 75,000 marek prócz kosztów na założenie plantacyi w najbliższem otoczeniu pomnika.

— **W tutejszem** naczelnem prezydyum odbyła się w ubiegłym tygodniu konferencya w sprawie złagodzenia klęski rólniczej. W obradach uczestniczyli landraci poznańskiego obwodu rejencyjnego.

— **Dr. Englich**, syn zmarłego profesora dawniej przy gimnazyum śremskiem, a później w Gdańsku, złożył egzamin assesorski i ma zamiar osiedlenia się jako adwokat w Bydgoszczy.

— **Żnin.** Na odbudowanie wieży kościoła katolickiego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: Antoni Rąbkowski z Jaroszewa 5 mr., Prakseda Maciejewska z Jaroszewa 3 mrk., ks. proboszcz Sikorski z Góry 10 mrk., Jan Kaczmarek 3 mrk., Antonina Glińska 3 mr., Rozalia Brzezińska 3 mrk., Katarzyna Siadek z Żnina 3 mrk., Józefa Kwiatkowska z Rydlewa 3 mrk., Antonina Dzieł 2 mrk., Wincenty Skarbiński 3 mrk., Franciszek Kotowski 3 mrk., Jan Wiciński 3 mrk., Stanisław Szczodrowski z Żnina 10 mrk. Zebrane przez pewną osobę 30 mrk. Sędzina Robowska 3 mrk., Andrzej Goc z Jaroszewa 2 marki. — „Bóg zapłać!“

Ks. Jasiński.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożyły w dalszym ciągu Polki z Nakła 5 marek.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 560 mrk. 64 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

— **Na fundusz** dla kształcącej się młodzieży gimnazyalnej złożyły Polki z Nakła 3 marki.

Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmować będziemy.

— **Curityba, Brazylia.**

Szanowna Redakcyo!

Znajdując się w potrzebie odnalezienia jednego z mych familiantów, upraszam Szan. Redakcyą, aby raczyła ogłosić w swem piśmie, że ja Roman Paul, poszukuję swego stryja, Ignacego Paula, który w zeszłym roku pisał do mego brata Jana do Barra-feia, stan Para w Brazylii. Siedzibą jego o ile wiem jest Slązk, ale czy austryacki lub pruski także nie wiem. Z zawodu jest inżynierem, człowiek letni, żonaty, nie mający żadnych dzieci. Roman Paul.

Curityba Nr. 15 em caza do Sr. H. Burmester et Co Estado Parana-Brazil.

Wiadomości od Patronatu.

— **Walne zebranie** Kółek rólniczych odbędzie się w Obornikach, **dnia 23-go czerwca,** o godz. kwadrans na 2-gą w poł.

— **Walne zebranie** Kółek rólniczych odbędzie się w Inowrocławiu, **dnia 30-go czerwca.**

— **Walne zebranie** Kółek rólniczych odbędzie się w Żninie **dnia 7-go lipca.**

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Poniec.** Czołem! Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ urządza w niedzielę dnia 23go b. m. w parku w Drzewcach zabawę latową. — Program: Koncert, gry towarzyskie, popisy gimnastyczne. Piramidy przy oświetleniu bengalskiem. Początek zabawy o godz. 3-ciej, koniec o godz. 10-tej wiecz. Wstęp dla dorosłych 1 mk., dla dzieci niżej lat 14-tu 10 fen.

Po zabawie w Drzewcach wieczorek z tańcami w hotelu Wiktorya w Poniecu.

Na powyższą zabawę wszystkich życzliwych Towarzystwu uprzejmie zaprasza.

Wydział.

— **Program** zlotu okręgu nadwiślańskiego „Sokołów“ w Toruniu dnia 7 lipca 1901 r.

W sobotę wieczorem dnia 6-go i w niedzielę 7-go: Przyjmowanie gości przyjeżdżających, na dworcu przez komisyę kwaterunkową (odznaka biała przepaska na rękawie.)

W niedzielę dnia 7-go: o godzinie 7-ej z rana: Msza św. w kościele św. Jakóba, o godzinie 8-ej z rana: Próba ćwiczeń na boisku, o godzinie pół do 11: Powitanie gości i otwarcie zlotu, oraz dowolne śniadanie na sali ogrodu „Wiktoryi", o godzinie pół do 12 tej: Zwiedzenie miasta, o godz. pół do 1-szej w południe: Zebranie w Muzeum, zkąd nastąpi wymarsz z muzyką do ogrodu Wiktoryi, o godz. 4-tej po południu: Koncert w ogrodzie.

Ćwiczenia zlotowe (na przyległem boisku). a) ćwiczenia wolne (wspólne), b) ćwiczenia z laskami, c) na przyrządach, d) ćwiczenia zawodowe, e) ćwiczenia trójek, piramidki związkowe, d) piramidy wspólne.

Ceny miejsc: Wstęp do ogrodu na koncert: 25 fen. od osoby. — Wstęp na boisko: krzesło 1,00 mk., ławka 50 fen., miejsce do stania 25 fen.

Wieczorem tańce na wielkiej sali.

Od Redakcyi.

G. G. 6. — Ponieważ Pan obowiązkowi wojskowemu zadosyć uczynić musisz, więc paszportu Pan nie otrzymasz.

Panu A. W. w Inowrocławiu. — Poczta była w swem prawie.

Panu St. K. w Ż. (powiat wrzesiński). — List albo nie doszedł, albo też zaginął z powodu rewizyi i konfiskat policyjnych. W utwory poetyczne pierwszorzędne jesteśmy zaopatrzeni w obfitości.

Panu Mieczysławowi W. w Kłodzku. — Wysłaliśmy numery na okaz i prosimy o dzielną, a skuteczną agitacyę. Wiersz stósowny na karnawał, zamieścimy go też, da Bóg doczekać, w tym czasie. Na razie prosimy nam dalszych wierszy nie nadsyłać, gdyż posiadamy w tece redakcyjnej pod dostatkiem przeznaczonych do druku pięknych poezyi i t. p.

Panu M. J. w Miłosławiu. — Takie notatki nie nadają się do publikacyi.

Panu Antoniemu L. w Kruświcy. — Notatek informujących o osiedleniu się nie zamieszczamy więcej, gdyż mieliśmy w tej sprawie dotąd dużo nieprzyjemności. Notatki takie są często skreślone ręką nieżyczliwego konkurenta i t. p., jak mieliśmy tego wiele dowodów.

Panu Leonowi S. w Diedenhofen. — W księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin. Za nadesłane numery „Pracy" dziękujemy najserdeczniej.

M. J. J. — Z powodu częstych rewizyi, konfiskat i t. d. na razie nowelki tej odszukać nie mogliśmy, a skoro odszukamy — zamieścimy.

W. St. 100. — Numery swego czasu otrzymaliśmy. Serdecznie dziękujemy.

Szarada.)*

Pierwsza czwarta — rzeka, *druga czwarta* — [zwierzę.
Trzecia czwarta wiąże, mówię to wam szczerze.
Cała do grania.
Koniec zadania.

Rozwiązanie szarady z nr. 14:

Procederzysta.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymała przez wylosowanie pani Kornelia Silkiewicz ze Lwowa.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę t. j. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda wyznaczoną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do 27-go b. m. włącznie. Dla oszczędzenia portorium prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" **Wincenty Szmytkowski.**

— **„Zioła lecznicze"**, rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzenie, suszenie i przechowywanie spisał Tadeusz Śniegocki, Poznań. Nakładem autora. Czcionkami drukarni „Pracy" (M. Biedermann.) 1901."

Dziełko to nabyć można za nadesłaniem 60 fen. w Ekspedycyi „Pracy" przy ul. Rycerskiej 38.

Niniejszem donosimy Łaskawym Odbiorcom naszym jak najuprzejmiej, iż powierzyliśmy

Generalną agenturę

naszej fabryki rosyjskich tytuni na Ślązk i W. Księztwo Poznańskie

firmie

Wichrowski & Święcicki w Poznaniu

i prosimy uprzejmie nadsełać wszelkie łaskawe zlecenia wprost do firmy powyższej.

Z poważaniem

Bracia S. W. Poliszuk w Żytomierzu (na Wołyniu).

Powołując się na powyższe ogłoszenie donosimy uprzejmie, że mamy zawsze znaczne zapasy tytuni powyższej fabryki w cenie od 1--8 rubli za funt i polecamy się łaskawym względom Szanownych Odbiorców.

Z wysokim szacunkiem

Wichrowski & Święcicki.

Główny skład i kantor **Piekary 7.**

Drugi skład „Havana" **Berlińska 7.**

Trzeci skład „Hotel de France" **Wilhelmowska 13.**

Technik gorzelniczy, kawaler, 34 lat, przyzwoitej powierzchowności, z lepszem wykształceniem i z dobrego domu, w trwałej dobrej posadzie, z dochodem przeszło 4,000 mk. rocznie i wposiadaniu własnego majątku pragnie się 372

ożenić

z przyzwoitą panienką lub ładną, młodą wdówką z posagiem przynajmniej 10,000 marek. Łask. of. pod lit. M. M. 372 do Exp. „Pracy".

Agronom, z dobrego domu i z wyższem wykształceniem, 37 lat, kawaler, przystojny, przyzwoitej powierzchowności, w posiadaniu własnego majątku 36,000 mk. w gotówce, poszukuje znajomości pań w celu

ożenku.

Panie, też i wdówki — reflektujące na powyższą oferte, a z odpowiednim majątkiem lub też w posiadaniu folwarku lub wioski, — zechcą oferty nadesłać łask. pod lit. L. S. 371 do Exp. „Pracy". 371

Kupiec z zawodu, kawaler, przystojny, 35 lat, z kwalifikacyą na oficera, w dobrej pozycyi, dochodem przeszło dwanaście tysięcy marek rocznie, a nadto w posiadaniu własnego, znaczniejszego majątku, — dla braku znajomości wskutek dłuższego pobytu na obczyźnie, poszukuje na tej drodze towarzyszki życia, młodej, uroczej

żonki

choćby zgoła bez posagu, a nawet bez wszelkiej wyprawy, lecz obdarzonej urodą.

Łaskawe oferty z dołączeniem fotografii upr. pod lit. J. J. nr. 370 do Exp. „Pracy". 370

List wysłany pod Lit. **T. K. 31.** główna poczta Poznań, nie raczyła osoba interesowana odebrać.

Ponieważ mi dużo zależy na tem, przeto proszę osobę tę o podanie dokładnego adresu celem bliższ. porozumienia się. Adr. ten sam co dawniej. 429.

Gnieźnieńska

fabryka cygar 383

zjednała sobie w krótkim czasie wiele zwolenników na swe wyroby. Kto raz spróbuje ten z zadowoleniem powie: za tanie pieniądze dostało się rzeczywiście dobre cygara. Polecam i wysyłam *franco* pod zaliczką na próbę paczkę pocztową: 100 szt. za 2,50, 2,75, 3,00, 3,50 i 4,00 mk., rozm. 500 szt. za 15,75 mk.

P. Urbanowski,

fabryka cygar, Gniezno.

Ucznia

syna uczciwych rodziców poszukuje od 1-go lipca lub zaraz do swej drogeryi 424

I. Kowalski.

Wolsztyn, (Wollstein).

Wdowa, wykształcona, bezdzietna, katoliczka 40 lat licząca, dawniejsza restauratorka, posiadająca 4,000 marek gotówki z odpowiednią wyprawą, pragnie

wyjść za mąż.

Młodzieńcy lub wdowcy po nad lat 30, raczą łaskawie nadesłać swe oferty pod lit. **A. B. 180 postl. Loebau W. Pr.** 417

— Niech mi pan dobrodziej powie, w jakim celu właściwie powstał w Chinach ten „Wielki kułak."

— Żeby nareszcie można było czem rozbić odwieczny mur chiński...

Cukry, czekolady i karmelki warsz. parowej fabryki E. Wedla.

Teodor Rudnicki,



Poznań, Rycerska 39,
Przystanek kolei elektr. „Teatr miejski".
Telefonu Nr. 228.
Cukiernia pierwszorzędna.

Interes specyalnie obstalunkowy i wysełkowy poleca wszelkie wyroby i artykuły w zakres cukierniczy wchodzące: **napoje zimne i ciepłe, lody** w kilku gatunkach codziennie świeże.

Czekolady, cukry i karmelki warszawskiej parow. fabryki E. Wedla, oraz wielki wybór tutajszych.

Specyalność:

Torty baumkuchowe od 3 m.

Baumkuchy od 6 m. w większej ilości i mniejsze. Do wszelkiego pieczywa używane jest tylko czyste masło a nie margaryna.

Wielki skład herbaty.

Lokale z komfortem urządzone zaopatrzone w wielką ilość pism tutajszych i zagranicznych (przeszło 60). 285

Poznań 1895 srebrny medal. | Gwarancya długoletnia. | Gniezno 1896 złoty medal

Po przebudowaniu i znacznem powiększeniu magazynów naszych polecamy meble wykończone li tylko z dobrego, suchego materyału i to pod gwarancyą od skromnych do najwykwintniejszych. 755

Meble polecają Dankowski i Sp.

Poznań, Wilhelmowska 20, obok p. Starka.

Własnego wyrobu meble wyściełane; — **własny** wielki i zaszczytnie znany warsztat **tapicersko-dekoracyjny.** Mamy gotowe **kompletne** pokoje skromne i eleganckie; orzechowe, dębowe, złocone (bardzo modne sypialnie jaworowe i t. d.

Wszystko we wielkim wyborze gotowe na składzie. Materye meblowe — prawdziwie francuzkie — w stylach do mebli odpowiednich.

Dankowski i Sp.

Magazyn mebli,
Poznań,
ulica Wilhelmowska 20.

Na spłatę ratami. zgadzamy się. | Długoletnia rzetelna gwarancya.

Sobecki & Wrzesiński, Poznań.

Fabryka tektur na dachy (papy), asfaltu i przetworów smołowcowych

poleca 153

ogniotrwałą (tekturę) *papę na dachy,* asfaltową *papę izolacyjną* na fundamenta, impregnowane *podkładki pod dachówkę, lepnik, holzcement, karbolineum,* wszelkie preparaty do renowacyi i impreg. dachów papow. *Kit włóknisty, asfalt, gudron, smołę prepar., trójkątne listwy, gwoździe do papy, szczotki do smoły* etc.

Każde zamówienie jako i próby fabrykatów wysela się odwrotnie.

Biuro: Poznań, ul. Wiktoryi nr. 20.
Fabryka w Głównie p. Poznań.

W sądzie okręgowym.

— Wojtek, jeżeli się przyznasz do winy, będziesz siedział w kozie ze swoją żoną.

— E, to już wolę się nie przyznać.

K. Frankiewicza

w Poznaniu, ulica W. Berlińska nr. 23
parowa fabryka obróbki drzewa
oraz
handel drzewa i interes budowlany.

Nadmieniam, iż mam zawsze na składzie

gotowe podłogi,

wszelkiego rodzaju 325

listwy profilowane, wyłogi do drzwi, żaluzye do okien wystawnych, listwy dla dekarzy, poręcze do schodów.

dębowe, sosnowe i olszowe

szczeble toczone

w najrozmaitszym wyborze.

Zarazem polecam się do wszelkich robót **z dostarczonego materyału.**

Mam także na składzie

wszelkie drzewo budulcowe i dla stolarzy.

Urządziwszy fabrykę moją podług najnowszych na tem polu ulepszeń, jestem w możności w krótkim czasie wszelkim wymaganiom zadość uczynić.

Rentowy

majątek,

reszta z dużego majątku w Pr. Zach. nad szosą 4 kilm. od kolei, obszaru 331 mórg, ziemia pszenna i buraczanna, dobre łąki własny torf — budynki masiw i w najlepszym stanie, własna mleczarnia, która donosi 1200 mk. rocznej dzierżawy — inwentarz żywy i martwy nadkompletny — obszerny dom mieszkalny z którym się łączy park i sady owocowe, jest dla choroby do sprzedania.

(Mierzynek), Petersdorf p. Ostrowit Pr. Zach. pow. Lubawski. 416

Korzystne kupno majątku.

Posiadłość, zawierająca 500 morgów ziemi, leżąca przy szosie i niedaleko dworca, do Poznania godzina jazdy koleją, z murowanymi budynkami, kompletnym inwentarzem i żniwem ma być **niezwłocznie** wskutek przeprowadzenia za **cenę bardzo przystępną** sprzedaną.

Zaliczki 30 do 40 tysięcy marek. Oferty uprasza pod lit. **H. S. 600 postlagernd Nowemiasto (Neustadt a. d. Warthe).** 420

Grunt

w mieście około 30,000 mieszkańców w Pr. Zach., w najlepszem położeniu, w którym znajduje się handel towarów korzennych i destylacya, z wielkim i wygodnym zajazdem, restauracya etc., obrót około 180,000 mk., jest dla choroby właściciela zaraz do sprzedania, gotówki do kupna i przejęcia potrzeba około 25,000 mk. Bliższych informacyi udzieli eksp. „Pracy“ pod lit. G. nr. 415. Dla rodaka świetna egzystencya. 415

Gospodarstwo

w powiecie tucholskim, około 250 mrg. znakomitej ziemi, z nowemi budynkami i kompletnym inwentarzem, mamy na sprzedaż pod korzystnemi warunkami, przy zaliczce 8,000 talarów. 338

Bank Ziemski w Poznaniu
ul. Wiktoryi nr. 2.

Mam do sprzedania:

1. W Szydłowie, powiat Mogilnicki, 88 mórg, budynki, inwentarz, zasiewy.
2. W Mijanowie pod Wilatowem, 60 mórg, obsiane z budynkami i inwentarzem.
3. Tamże 80 mórg, obsiane z budynkami i inwentarzem.
4. W Wilatowie dobry dom mieszkalny z budynkami gospodarczymi, ogrodem przy domu, osobną łączką. Wilatowo wielka wieś kościelna, dawniej miasto,
5. W Jastrzębowie pod Trzemesznem około 40 mórg z łąkami, budynkami i inwentarz; wszystko obsiane.
6. Tamże cegielnią, około 12 mórg z łąkami.
7. W Miąży pod Damasławkiem, powiat Wągrowiecki, 75 mórg, obsiane z łąkami, budynkami i inwentarzem.
8. W Parlinku pod Mogilnem „Restgut“ 46 mórg z łąkami, inwentarz, bardzo dobre budynki, wielki ogród owocowy i warzywny ze stawikiem.
9. W Palędziu dolnem pod Mogilnem, jedno gospodarstwo 120 mórg, całe obsiane, łąki, dobre budynki gospodarcze z inwentarzem; drugie gospodarstwo około 60 mórg, obsiane, z łąkami, budynkami i inwentarzem.
10. Tamże pojedyncze parcele od 5 do 20 mórg bez budynków.
11. W Budach Palędzkich pod Mogilnem około 58 mórg z łąkami; obsiane, inwentarz, dobre budynki.
12. W Dębnie pod Mogilnem wiatrak, dobre budynki i około 20 mórg obsiane.
13. W Gościeszynku, powiat Żninski 18 mórg obsiane i dobre budynki.
14. W Drewnie pod Gąsawą około 60 mórg z łąkami, zasiewy, bez budynków, mieszkanie i budynki gospodarcze do użytku na 3 lata.
15. W Kaczkowie pod Żninem około 16 mórg, zasiane z budynkami.
16. W Sadłogoszczu pod Barcinem posiadłość 7 mórg z łąkami, dobre budynki gospodarcze, zasiewy.
17. W Wierzbiczanach pod Gnieznem, około 100 mórg z budynkami, łąkami, zasiewy.
18. W Sędówku pod Mogilnem parcela 14 mórg, cała obsiana bez budynków.

Reflektanci mogą sobie posiadłości każdego czasu obejrzyć. Kto ma chęć kupić, niech najlepiej przybędzie do mnie i to w każdy wtorek i piątek. W niedziele i święta proszę nie przybywać. 412

Józef Stark — Mogilno.
Interes bankowy, zbożowy i parcelacyjny.

Folwark

400 mórg dobrej, żytniej ziemi, w tem 30 mórg łąk i 30 mórg lasu, budynki masywne, jest za cenę 40,000 mk. do sprzedania. Wpłaty potrzeba 15,000 mk. Miasto powiatowe oraz stacya kolei żelaznej oddalone 4 klm. 362

Bliższych wiadomości udzieli

Domin. Kubera
p. Ostrzeszów.

Materyały piśmienne

poleca

hurtownie i detalicznie

Skład papieru i materyałów piśmiennych

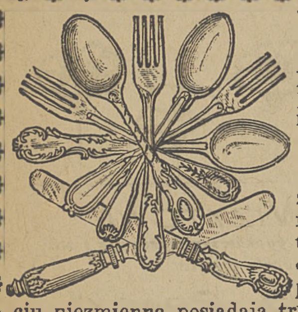
„Atlas“

W. Kostrzewski,
Poznań, Stary Rynek nr. 48. 57

Z motywów sielskich.

Stoi sobie stoi
Magda kiele chaty,
Dobry prosty Wojtek,
Lepszy Grześ garbaty.

Czemu lepszy Grzesiek,
Chociaż garb go szpeci?
A bo gruntu ma aż
Morgi coś półtrzeciej.



W miejsce kosztownych sreber

polecam do wypraw po oryginalnych cenach fabrycznych

sztućce stołowe

ze znanej fabryki wyrobów srebrnych i platerowanych **Christofle & Co. w Paryżu**, które przy codziennem użyciu niezmienną posiadają trwałość a pod względem pięknego wykonania i gustownych fasonów nie ustępują szczero srebrnym. 317

Oszczędności i korzyści

wynikające przy zakupnie całych wypraw wykazuje następujące

porównanie:

12 srebrnych łyżek, tyleż widelcy i noży w ciężkiej wadze srebra kosztuje około 300 marek.

Za połowę tej sumy otrzymuje się natomiast:

12 łyżek stoł.	M. 26,40	12 łyżeczek do mokki	„ 11,20
12 widelcy „	„ 26,40	1 łyżka wazowa złoc.	„ 12,80
12 noży „	„ 28,80	1 łyżka do kompotu	„ 3,40
2 łyżki półmisk.	14,40		
12 łyżeczek do kawy	M. 13,60		

12 laweczek pod noże Mk. 13,20.

Cały ten komplet najniezbędniejszych w codziennem gospodarstwie sprzętów

razem kosztuje 150 marek.

Wszelkie reparacye, posrebrzanie starych sztućców i odnawianie aparatów kościelnych wykonuje po cenach przystępnych

Józef Stark w Poznaniu,

specyalny skład wyrobów platerowanych i sprzętów kośc.,

Wilhelmowska ul. nr. 21.

Pewna egzystencya dla

zegarmistrza Polaka!

W mniejszem mieście w Pr. Zach. sprzedam całkowicie niżej ceny zakupna interes **zegarmistrzowski, złotniczy** połączony z **optycz. i alfenid. przedmiotami** oraz z wielkiem obrotem **reparacyi**. Wartość takowego 6000 mk. zaliczka wystarczy mała, a resztę przez odpłatę miesięczną. Na życzenie wyprzedam też częściowo. Of. proszę nadesłać do Exp. „Pracy.“ pod lit. S. nr. 398.

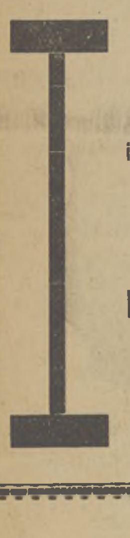
B. Sadowski,



zakład zegarmistrzowski i złotniczy

w Krotoszynie (Krotoschin i. Posen)

Poleca po najtańszych cenach prawdziwie dobre **zegarki, zegary, wyroby ze złota i srebra etc.** w wielkim wyborze. Cennik darmo i franko. 392



Podciągi (tragarze)

filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 35

w wielkim wyborze

i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. Nr. 17.

Na codopiero zakończonej wystawie w Berlinie zostały wyroby mych papierosów, **wielkim złotym medalem** i dyplomem honorowym odznaczone.

„HAWANA“

(S. K. Samoliński.)

Wysełkowy dom cygar i fabryka papierosów 430

Wągrówiec.

Wielmożnemu Panu

Dr. Smolińskiemu

za wyleczenie mojej starej matki z ciężkiej i niebezpiecznej choroby składam serdeczne 418

podziękowanie.

Wł. M. Wilda.

Posiadłość

składającą się z dwóch domów i chlewa, z ładnym ogrodem owocowym, tuż przy dworcu kolejowym mam zamiar sprzedać. Cena kupna 15 tysięcy marek. (5 tysięcy marek może zostać na długoletnią odpłatę). Zgłoszenia przyjmuje każdego czasu

Teodor Feicht.

Mogilno. 419

Handel

kolonialny, drogeryi i krótkich towarów, zarazem **sprzedaż mleka i magiel,** rozwinięty tak dalece, że dla familii daje pewne utrzymanie, jest na jednem z przedmieść w Poznaniu do sprzedania. Do objęcia trzeba najmniej 3000 mk. 426

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **W. nr. 426.**

Sekretarza

wprawnego i sumiennego poszukuje 413

I. Kłossowski,

adwokat i notaryusz

w Gnieźnie.

---

2 samodzielnych

czelad. blacharskich

na stałe zatrudnienie przyjmie zaraz, płaca tygodniowa 10 do 15 marek oraz wolny stół i pomieszkanie.

A. Konopiński,

Września. 427

Jąkała.

— Gdzie teraz bawi pańska żona?

— W No... no... nc... nowo-Mińsku.

— A pańska córeczka?

— Także w No... no... no... nowo... Do licha!... nie mogłeś pan odrazu za... py... pytać o obie?!

Zupełnie za darmo

bardzo pięknych obrazów świeckich i religijnych

nabyć nigdzie nie można! 422

Lecz po niższych cenach jak gdziekolwiek sprzedaje i oprawia takowe w gustownie dobrane ramy

Firma „Ikon“

Seweryna Neyman.

Poznań, Rycerska ulica 1.

Znany i wypróbowany środek **przeciw kolce i wzdęciu u bydła**

Anticolicum

w butelkach po 3 mk.

poleca

Apteka w Witkowie, Łucyan Osten,

o skuteczności „Anticolicum“ świadczą obok wielu innych następujące uznania:

1. Zamawiam 6 but. „Anticolicum“, które nam zawsze równą wyświadcza przysługę przeciw kolce u koni i bydła.

podp. *Dom Niechanowo I. M.*

2 Na probostwie w Stawie zawsze z dobrym skutkiem i szybko działały na **kolki,** wzdęcie u koni i bydła sporządzone w aptece w Witkowie leki „Anticolicum“, które Szanownym gospodarzom bardzo — bardzo polecam. Staw w Czerwcu 1901.

podp. *Ks. Dziekan J. Janas.*

3. W odpowiedzi na pismo Pańskie uprzejmie donoszę, że ile razy od lat kilkunastu używałem przez Pańską aptekę wyrabianego środka przeciw kolce (Anticolicum) zawsze skutek był jak najlepszy Z tego powodu polecałem „Anticolicam“ uwadze ziemian i nie mam nic przeciw temu, jeżeli Pan dzisiejsze moje pismo publikować bedziesz.

Odrowąż. 425

Z wyrazem szacunku

St. Malczewski.

4, Donoszę niniejszem, iż lekarstwo Pańskie na kolkę „Anticolicum“ używane w majętności Drzązgowo prawie od 3 lat okazało się bardzo skuteczne. Przy bardzo gwałtownej kolce zadane podług przepisu, już od 3-go zadania koń był zupełnie zdrów, a przy mniej gwałtownej skutek nastąpił od razu.

podp. *Dom. Drzązgowo St. Gadomski.*

5. Upraszam Szanowną Aptekę posłać 4 but. „Anticolicum“ pod adr.: Dom Głeżno pod Wyrzyskiem. Niechanów w Czerwcu 1901.

podp. *Chłapowski.*

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne

J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,

545 **Fryderykowska 78.**

(Właśc. firmy: **A. Mühle i W. Ziołecki.**)

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach 369

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Za wiele mówił.

— A! już daj mi spokój, mężu... Za wiele mówisz o każdej drobnostce...

— O, nie, moja droga. Raz jeden w życiu tylko zawiele mówiłem...

— Kiedyż to?...

— Było to przed trzema laty, gdym się tobie oświadczył!...

Z polityki.

— Cóż słychać w polityce o Boerach?

— Och, panie, to właśnie jest najstraszniejsze, że o nich już prawie nic nie słychać...

Właśnie opuściło prasę trzecie, znacznie pomnożone wydanie, znanego i cenionego w szerok. kołach polsk. publiczności

śpiewnika

pod tytułem

Zbiór pieśni patryotycznych i narodowych

zebranych przez **Fr. Barańskiego.** Wydanie III pomnożone. **Część I.** Muzyka zawiera na 126 stronnicach pięknego druku 110 numerów pieśni w łatwym i ładnym układzie na fortepian i do śpiewu. **Część II.** Słowa do melodyi umieszczonych w części I z licznemi do każdej prawie pieśni waryantami. — Część ta zawiera tekstu do przeszło 300 pieśni na 192 stronnicach. Całość (2 części razem) kosztuje mrk. 3,75. Część I muzyka osobno kosztuje mrk. 2,50. Część II tekst kosztuje mrk. 1,65.

Wydawnictwo Księgarni Polskiej
Bernarda Połonieckiego
we Lwowie, plac Maryacki II.
Na składzie we wszystkich księgarniach. 283

Co dopiero wyszła w **3-ciem** wydaniu
Znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych, z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur.

Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. **Cena bez oprawy 2 m., z opr. 2,60 m., porto 20 fen.** Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, Rynek 53.

UWAGA. Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte wyłącznie na własnem długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. 331

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa

w Warszawie.

Do nabycia w wszystkich księgarniach.

Bardzki B. **Cztery nauki gospodarskie dla włościan:** O uprawie roli i łąk. — O płodozmianie czyli widopolowem gospodarstwie. — O osuszaniu ziemi i drenowaniu. — O nawozach stajennych, sztucznych i zielonych. **75 fen.**

Goeschke F. **Ogród wiejski.** Popularny przewodnik przy zakładaniu i pielęgnowaniu ogrodów, oraz podręcznik do nauki ogrodnictwa, z drzeworytami w tekście. **1 mrk.**

Pribyl. **Hodowla drobiu** i Goedde **hodowla bażantów.** Z czwartego wydania niemieckiego przełożył A. Strzelecki. Z 56 rycinami w tekście. **3 mrk.**

Dzielny Żołnierz. Opowiadanie historyczne z powieści H. Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski", przerobione przez H. Sł. **50 fen.**

Obrona Częstochowy. Opowiadanie z czasów wojny szwedzkiej, przerobione przez S. J. z powieści „Potop" H. Sienkiewicza. **50 fen.** 344

Święty Piotr w Rzymie. Opowiadanie z czasów prześladowania chrześcijan za Nerona, przerobione z powieści H. Sienkiewicza „Quo vadis", przez H. Sł. **1 mrk.**

Najnowsza książka modlitewna z aprob. kościelną

ANIOŁ STRÓŻ

ułożona przez **ks. Euzebiusza Statecznego,** gwardyana Zakonu Braci Mniejszych w Alwernii,

wyszła z druku i obejmuje 624 stron w formacie zgrabnym $12^{1}/_{2}$ + 8 cm, na papierze bardzo dobrym, z drukiem wyraźnym, w oprawie trwałej i eleganckiej.

Cena od 1 do 5 marek.

Sprzedającym wielki rabat. — Cennik przes. na żądanie odwrot.

eksped. „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Najnowsza książka modlitewna z aprob. kościelną

OŁTARZYK

ułożona przez **ks. Euzebiusza Statecznego,** gwardyana Zakonu Braci Mniejszych w Alwernii,

wyszła z druku i obejmuje 646 stron w formacie zgrabnym $12^{1}/_{2}$ × 8 cm, na papierze bardzo dobrym, z drukiem wyraźnym, w oprawie trwałej i eleganckiej.

Cena od 1 do 5 marek.

Sprzedającym wielki rabat. — Cennik przes. na żądanie odwrot.

eksped. „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236

W. Fiałek w Chełmnie
(Culm W/Pr.)

Dom Polski
w Copotach
(Zoppot Südstr. 71 a. b. c. 72)

poleca na sezon kąpielowy **mieszkania** większe i mniejsze, oraz pojedyńcze pokoje.

Cena pokoju wraz z całodziennem utrzymaniem, począwszy od mk. 5,50 za dobę.

Całodzienne utrzymanie bez mieszkania mk. **4,25. Obiady** w abonamencie po mk. **1,75** bez abon. **2,00.**

Mieszkania bezwarunkowo suche. Położenie nader piękne: tuż nad morzem przy parku, bliziutko kurhauzu i kąpielni.

Dostawy

masła

około 80 funt. tygodn.

poszukuje 377

W. Becker,

skład delikatesów.
Plac Wilhelmowski i róg ulicy Teatralnej.

Nie może.

— Cóżto? byłeś już od roku zaręczony z panną Maryą i zerwałeś?
— Obecnie nie mogę...
— Dlaczego?
— Cukier podrożał, a ona pija bardzo słodką herbatę.

Ucznia

z lepszem wykształceniem szkolnem poszukuje zaraz 373

M. Jankowski.
Drogerya w Grodzisku.

Papier listowy

z pięknemi nagłówkami w pięciu seryach, z których każda zawiera 5 arkuszy, a każdy arkusz inny nagłówek z wierszem przesyła za nadesłaniem **50 fen.** franko

ekspedycya „Katolika"
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

Księgarzom i odsprzedającym wysoki rabat. — Do dostania w księgarniach i u pp. agentów „Katolika".

Tanie książki ludowe!

Dwie drogi, Trzęsienie ziemi, Trupia wieża, Krwawa dola, Dwie wilie, Dwaj bracia, Modlitwa za Bismarka, Anzelm w tureckiej niewoli, Jak w Poznaniu bies Szweda porwał i Wierność i litość. 10 tych książek daję za 3,25 M. franko i piękny herbik w dodatku. Zamiast powyższych zortuję innych 10 pięknych powieściowych książek ze 3,25 M. Polecam mianowicie: Feryda zemsta arabki, Pan Starosta, Bernard i Sabina, Zbrodnia i pokuta. Nałęcze i Grzymalici, Walka przesądów, Nad przepaścią, Niegodna, Kurpie, Czerwony pająk i Bratobójca po 60 fen. Wszystkie 11 grubych książek prześlicz. powieści daję za za 5,50 M. franko! Potem obszerne dzieła: Pojata córka Lezdejki 4 wielkie tomy 4 M. Straszna tajemnica 2 tomy 2 M. Jan z Tęczyna 2 tomy 2 M. Sprzysiężeni 6 tomów 3,50 M. Rozstajne drogi 1,50 M. Mądry Wach 1 M. Estetyka popularna 2 M. Kosynierzy 2 M. Jerzy Jaszczur Bażeński 2 M. Pod berłem Jagiellonów 2 M. Rzeź galicyjska 1,50 M. Z kryjówek ubóstwa 1,50 M. W sieci życia 1 M. i Powieści serbskie 1 M. Wreszcie polecam: Śpiewniki kościelne i narodowe, wielkie, średnie i małe, Książki do nabożeństwa różne, elementarze, wielki wybór kart z widokami i różne książki powieściowe. Sprowadzam na żądanie także wszelkie inne nakłady. Zamawiać pod adresem:

Fr. Wiśniewski, Mogilno (Pr. Posen.)

Ps. „Krzyżacy" są jeszcze do nabycia, lecz tylko oprawne po 4,50 M. porto 30 fen. do Galicyi 50 fen.

„Przodownica"

pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca — jak wspominaliśmy w Krakowie — za cenę jednej korony czyli 50 centów rocznej prenumeraty, gdzie też ją zamawiać można. Redakcya tego pisemka donosi, że która z Czytelniczek lub Czytelników uzyska 10 prenumeratorów i pieniądze na ręce Redakcyi prześle, ten prócz „Gospodarza" otrzyma jeszcze książkę w upominku, wartości 40 do 50 centów. Książki te mogą być, stosownie do życzenia, albo powieściowe, historyczne lub o podróżach, wynalazkach, albo wreszcie rolnicze, ogrodnicze, pszczelnicze i t. p. Właściciel tych książek będzie również obowiązany pożyczyć ich po przeczytaniu tym, co na jego ręce prenumeratę złożyli. Redakcya ma nadzieję, że w ten sposób mnóstwo dobrych książek dostanie się między lud i oświata coraz więcej będzie postępować naprzód, a z nią szczęście i dobrobyt naszej Ojczyzny.

Illustrowane pismo humorystyczne

„Śmigus"

wychodzi we **Lwowie** dwa razy miesięcznie, t. j. 1-go i 15-go. Prócz treści nader bogatej i wybornych **kolorowanych** illustracyi pierwszorzędnych artystów zawiera każdy numer Śmigusa **bezpłatny** dodatek z najnowszemi kompozycyami na fortepian i do śpiewu. Oryginalne i tłumaczone humoreski urozmaicają każdy numer. **„Śmigus jest najlepszem pismem humorystycznem polskiem.**

Prenumerata wynosi: **kwartalnie 2 mk., półrocznie 4 mk., rocznie 8 mk.** W Ameryce **półrocznie 1 dolar, rocznie 2 dolary.** Prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi **„Śmigusa," Lwów, ul. Akademicka 10.**

Prenumeratorowie, którzy zapłacą abonament **za cały rok z góry** otrzymają **wspaniałą nagrodę** (sensacyjną powieść wartości 3 marek.)

Numera okazowe na żądanie wysyła się bezpłatnie.

„TEKA"

czasopismo młodzieży polskiej wychodzące we Lwowie raz na miesiąc.

„Teka" jest pismem poświęconem sprawom i życiu młodzieży polskiej, kształcącej się we wszystkich trzech zaborach i za granicą.

Prenumerata wynosi w Księstwie i w Niemczech **rocznie 4 mk., półrocznie 2 mk., kwartalnie 1 mk.** — Adres Redakcyi: **Lwów, ul. Koralnicka 6.**

Trzeci rok istnienia!

Dreliszki we wielkim wyborze

płócienka, cajgi, wełniane lekkie materye, kamloty i ryps na ubrania męzkie, jako też sztuczki pikowych, wełnianych i jedwabnych kamizelek. Podszewki różnego rodzaju, *włościanki pod damskie kostyumy* poleca 421

Jan Mikołajczak,

w Poznaniu, Jezuicka ulica Nr. 12.

Czas największy odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 Mark.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M, erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„P R A C A”

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. 14 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post ....